

Mika Waltari

OBCY PRZYSZEDŁ NA FARMĘ



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Mika Waltari

OBCY
PRZYSZEDŁ NA FARMĘ

Przetłumaczyła z fińskiego
BARBARA IWICKA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • POZNAŃ • 1972

1

Obcy przyszedł na farmę wiosennego dnia o zmierzchu. Miał za sobą długi szmat przebytej drogi, gdy wreszcie skręcił w wiodącą od wsi boczną drogę polną. Ciepło pogodnego, wiosennego dnia roztopiło zmarzniętą ziemię; pod wieczór lekki przymrozek ściał błoto i pod stopami zaczął znowu chrzęścić cienki lód pokrywający kałuże i wypełnione wodą koleiny. Droga wiodła na przemian wzdłuż zielonych świerków lub skał oświetlonych blaskiem zachodzącego słońca.

Mężczyzna przeszedł na drugi brzeg wąskiej rzeczki przez uginający się ze starości mostek. Rzeka wiła się połyskując zielonkawą powierzchnią lodu. Po obydwu jej brzegach, od wschodu do zachodu ciągnęły się rozległe pola, podzielone płotami z kolczastego drutu na regularne parcele. Brunatne zagony tylko gdzieniegdzie pokryte były topniejącymi płatami śniegu. W lesie leżało go jeszcze dużo, jedynie na polanach szarzała ziemia, a mizerne krzewy wychylały się już ku słońcu. Zachodzące promienie rzucały ostatnie blaski w okna chat wsi, którą mężczyzna pozostawił za sobą. W ich świetle lśniły wznoszące się wysoko na dachach niektórych domostw radiowe anteny.

Droga pięła się stromo. Była wyboista, pełna kałuż i głębokich kolein. Gdzieniegdzie złociły się na niej kopczyki jasnego piasku, odcinające się wesoło od ciemnej ziemi pól i szarej jeszcze zieleni lasu. Piasek zwieziono tu zimą w czasie ślizgawicy. Nie było go wiele. Mężczyzna naliczył dziesięć kopczyków. W pewnym miejscu piasek zrzucono niedbale do przydrożnego rowu, jakby na złość lub przez nieuwagę. Pierwsze wody roztopów zmyły go prawie zupełnie.

Po długim marszu był bardzo zmęczony. Znużenie opanowało nie tylko jego mięśnie, ale i umysł, myśli toczyły się wolniej – jak u człowieka, który świadomy swej siły, tym głębiej odczuwa wyczerpanie.

Naprzeciw wysokiej ściany skał, na stromym pagórku wznoszącego się opodal rzeki pola, w zapadającym zmierzchu szarzał budynek stodoły. Droga, nie osłonięta w tym miejscu skałami ani lasem, była pusta i jasno oświetlona zachodzącą zorzą. Mężczyzna stanął, jakby wahał się przez chwilę. Przebiegło go drżenie. Oglądnał się raz jeszcze za siebie, spojrział na leżące przed nim obejście i ruszył wprost ku wyłaniającemu się z mroku domostwu.

Każdy następny krok oddalał go od pozostałej w dole wsi. Widać było jeszcze wyraźnie zabudowania i nawet okna chat, lecz stawały się one coraz mniejsze. Coraz węższa też wydawała się połyskliwa wstęga rzeki, wijąca się wśród rozległych pól pod rozległym niebem. Kiedy się patrzyło stąd – niebo było wielkie, większe niż tam na dole. Przed oczyma przybysza roztoczył się nowy widok. Pomiedzy lasem a skałami znajdowało się niewielkie jezioro, którego popękany lód zalany był już gdzieś mieniącą się w świetle nieba wodą. Do samych brzegów jeziora schodziły zagony pól przeciętych kawałkiem lasu. Wrzynał się on wąskim klinem między jezioro a wzniesienie, na którym stał dom i zabudowania gospodarskie.

Mężczyzna ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem. Idąc dalej patrzył już tylko na dom. Był bardzo stary. Dawno malowane, niegdyś ciemnoczerwone ściany straciły swą żywą barwę. Szare ramy okien ginęły zupełnie w zapadającym zmroku. Wąska smuga dymu szła wprost z komina ku pogodnemu niebu. Mężczyzna zauważył płot, oborę podmurowaną czerwoną cegłą, drewnutnię i stojącą nad brzegiem strumienia, wpadającego do jeziora, poczerniałą od dymu saunę. Patrzył ciągle na dom, w którym jedno

okno rozbłysło właśnie jasnym światłem. W tym samym momencie ostatnie promienie słońca zniknęły za lasem, niebo pociemniało, mrok stał się granatowy. Mężczyzna szedł wzdłuż przecinających pole słupów telegraficznych. Znalazł się wreszcie w jasnej smudze padającego z okna światła, rzucając na nią cień przez chwilę. Zauważono go w izbie. Wówczas mężczyzna poczuł, że już w przeszłości przeżył coś podobnego, że już kiedyś, w obcym sobie otoczeniu, wszedł wieczorem w taką właśnie zimną smugę światła.

W tym momencie ogarnęło go ogromne zmęczenie. Nogi zmieniły się w dwie kłody. Walizka uwierała na plecach. Wszystko stało się obojętne. On sam, obcy dom przed nim, sylwetka człowieka w zimnym świetle okna, wszystko, wszystko. Była tylko przemożna chęć snu i znużenie takie jak przez wiele wieczorów do tej pory. Wszystko co było w jego życiu przed tym zmęczeniem, zostało oddzielone granicą nie do przebycia. Oto przyczyna, dla której przybył w te obce strony, do tego obcego domu. Oto przyczyna, dla której żadna jego myśl nie chciała wracać do tego, co było. Tak było dobrze.

Przybył więc do celu. Przez otwarte wrota wszedł na podwórko, potem po schodkach do przedsionka domu. Podłoga zaskrzypiała pod stopami. Zastukał do dużych, ciężkich drzwi i otworzywszy je stanął na progu izby, tuż obok pobielonego kuchennego pieca.

– Dobry wieczór – powiedział cichym, niskim głosem, jakby bojąc się zakłócić spokój. Powolnym ruchem zdjął z głowy kapelusz i otarł spocone czoło. Wisząca na suficie nie osłonięta żarówka razila przywykłe już do mroku oczy.

W izbie były trzy osoby. Przy długim stole, podparłszy głowę rękami, siedział w sile wieku mężczyzna i czytał. Spojrzał na przybysza, ale zaraz wrócił wzrokiem do leżącej przed nim gazety. Na nie nakrytym obrusem stole widać było ślady spożywanego niedawno posiłku. Stała waza, koszyk z pokrojonym w duże kromki chlebem, trzy puste talerze.

Na ławie, przy oknie wychodzącym na południową stronę, siedział stary człowiek i naprawiał sieci.

Twarz jego była chuda i pomarszczona. Przerwał pracę i wyblakłymi oczyma patrzył bez ciekawości i jakby ze zdziwieniem. Nie odpowiedział na powitanie. Milczał.

Trzecią osobą w izbie była kobieta; stała pomiędzy piecem a dużym cebrem z wodą. Miała na sobie kretonową spódnicę i poplamiony fartuch. Rękawy bluzki, zawinięte po łokcie, odsłaniały jej silne, białe ręce. Przybysz patrzył na te ręce. Dłonie o długich, wąskich palcach miały piękny kształt, chociaż były zgrubiałe i zaczerwienione od ciężkiej pracy. Spojrzał na twarz kobiety. Włosy zaczesane gładko od czoła odsłaniały całą twarz, która w ostrym świetle lampy wydawała się bezlitośnie naga. Była surowa, zamknięta. Zimne, niebieskie oczy patrzyły na przybysza bez najmniejszego zdziwienia. Stojący w drzwiach mężczyzna czuł, że spojrzeniem tym kobieta bada go uważnie. Oczy te zdawały się znać go, zanim powiedział cokolwiek. W zmęczonej jego głowie powstała myśl, że jest to istota wyjątkowa. Zbyt twarda, aby być kobietą.

Wreszcie skinęła mu lekko głową i powiedziała: – Dobry wieczór.

Przybysz zdjął powoli walizkę z pleców i położywszy ją sobie wraz z kapeluszem u nóg, usiadł na brzegu stojącej przy piecu ławki, na której zazwyczaj siadają dzieci lub żebracy. Nie odzywał się ani słowem. Taki zwyczaj panował w tych stronach. Tylko ludzie nieopanowani i niesforne dzieci natychmiast rozpoczynają rozmowy. Nowo przybyły pojął to i zastosował się do tego zwyczaju. Podobał mu się on. Zresztą nie śpieszył się do rozpoczęcia rozmowy.

Stary mężczyzna przy oknie powrócił do naprawiania trzymany na kolanach sieci. Kobieta podeszła do stołu, zebrała naczynia i zmiotła okruszyny. Była wysoka, silna i zgrabna. Na nogach miała pobrudzone nawozem chodaki, ślad niedawnej bytności w oborze.

Mężczyzna przy stole wciąż czytał gazetę, ale jego niespokojne spojrzenie od czasu do czasu padało na przybysza. I znowu obcego nawiedziło uczucie, że przeżył już kiedyś podobną chwilę: cichy wieczór w ostro oświetlonej izbie starego domu. Mężczyzna czytający gazetę wydawał mu się znajomy. Widział już podobnych ludzi o miękkich rysach, grubych, wygiętych grymasem niezadowolenia wargach, wyłysiałych, z sinymi workami pod oczyma. Spojrzał wprost w te blade, rozbiegane oczy, których spojrzenie ześlizgnęło się z jego postaci.

– Skąd droga prowadzi? – spytał stary człowiek, nabierając drżącą ręką oczko sieci. Było w zwyczaju zadanie takiego pytania po upływie kilku chwil od przybycia gościa.

Na te słowa kobieta także zwróciła się w stronę obcego. Dom położony na uboczu, z dala od wsi, rzadko był przez kogoś odwiedzany. Tym razem jednak kobieta zdawała się wiedzieć, co spowodowało w ich progi mężczyznę. Czekala nawet na czyjeś przybycie. Wszyscy troje spojrzeli teraz na przybysza, który po chwili wahania odezwał się niepewnie, nie odpowiadając jednak na zadane mu pytanie.

– Przyszedłem dowiedzieć się o pracę...

Mężczyzna przy stole spojrzął na kobietę i gwałtownie odrzucił gazetę. Zmienił się na twarzy. Oczy rzucały złe błyski, usta dotychczas głupkowato otwarte wykrzywił grymas wściekłości.

– Nie potrzeba nam tutaj żadnego pracownika – powiedział ze złością. – Co też wam przyszło do głowy?

Słowa te nie zdziwiły przybysza, spojrzął z lekką pogardą na mężczyznę, który tak łatwo stracił panowanie nad sobą, i przeniósłszy wzrok na kobietę, do niej skierował słowa:

– Przeczytałem ogłoszenie w gazecie i przyszedłem dowiedzieć się...

Skinęła głową, twarde spojrzenie niebieskich oczu nie zmieniło się, powiedziała jednak uprzejmie:

– Proszę, wejdźcie dalej.

Popatrzyła na siedzącego przy stole mężczyznę. Pod jej wzrokiem zgarbił się i jak gdyby zmałał. Twarz mu się skurczyła, w oczach gasły powoli błyski bezsilnej złości ustępując miejsca zubożeniu i nudzie, a na usta powrócił zwykły grymas niezadowolenia.

Obcy zostawił przy drzwiach kapelusz i walizkę i przeszedłszy przez izbę usiadł na szerokiej ławie pod oknem obok starego człowieka.

– Nie jesteście chyba miejscowi? – spytała kobieta patrząc na niego spokojnie.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Przybyliście z daleka? – pytała dalej.

Nie było w tym zwykłej, kobiecej ciekawości, ale jakby rzeczowe rozważanie.

Przybysz zastanowił się przez chwilę.

– Ze wschodniej Finlandii – odpowiedział cicho.

Kobieta patrzyła wciąż na niego spokojnymi, zimnymi oczyma. Dorzucił jeszcze do odpowiedzi nazwę dużego okręgu przemysłowego z tej części kraju.

– Czy jedliście wieszczę? – zapytała zabierając się do zmywania brudnych naczyń.

– Nie jestem głodny – skłamał i odwrócił głowę.

Siedzący przy stole mężczyzna zapalił papierosa rzucając zapalną na podłogę. Wstał i zbliżywszy się do przybysza popatrzył na

niego z góry. Zaciągnawszy się papierosem, tkwiącym w kąciку ust, postukał z zarozumiałą wyższością w stół i powiedział:

– Z tak daleka, ho... ho... z tak daleka... Co was sprowadziło w nasze strony?

Obcy nic nie odrzekł. Nawet nie spojrział. Drażnił go ten człowiek.

– Wypadaloby odpowiedzieć, jak pytają – zirytował się mężczyzna. – Szczególnie, kiedy przychodzi się szukać pracy. A świadectwa? Chyba macie jakieś świadectwo z poprzedniej pracy. Tutaj nie przyjmuje się byle włóczęgi.

Pod pogardliwym spojrzeniem mężczyzny przybysz odczuł nagle dotkliwie swoje ubóstwo: podarte podeszwy butów, zniszczoną kurtkę, przetarty kołnierzyk wełnianej koszuli. Czuł także zapach potu wydzielający się pod wpływem ciepła z jego nie pranej podczas długiej drogi odzieży. Wszystko to zostało jak gdyby obnażone jednym szyderczym spojrzeniem. Twarz jego oblał ciemny rumieniec. Pochylił nisko głowę patrząc w podłogę.

– Mam jakieś papiery. Parę zaświadczeń – powiedział po chwili cicho.

Nie podnosząc wzroku wygrzebał z kieszeni skórzany portfel i wyjął dwa pomięte, zniszczone dokumenty.

Mężczyzna, zbliżywszy się do światła, zaczął je uważnie przeglądać. Najpierw rozwinął napisane na maszynie świadectwo opatrzone pieczęcią. Potem drugie, napisane już ręcznie.

– Jesteście więc ogrodnikiem – powiedział drwiąco. – Byliście nawet rządcą we wzorcowym gospodarstwie przy fabryce. Te papiery są bardzo zniszczone, tak wytarte, że nawet nazwisko jest niewyraźne. A może podrobiliście je? He? To stare zaświadczenia. Ostatnie ma datę sprzed ośmiu lat. A co robiliście ostatnio? To przecież najważniejsze. Co mi po tych papierach!

Twarz mężczyzny, w miarę jak mówił, czerwieniała. Oczy ożywiły się i rozbliżyły. Słowa płynęły potokiem i słyhać w nich było rosnące podniecenie. Nie było już w nim poprzedniej bezradnej słabości. To mówił znający swą wartość prawdziwy gospodarz. Człowiek pewny siebie, nie jakiś włóczęga.

Siedzący przy oknie starzec położył sieci na podłodze i podniósł się z ławy. Kobieta wycierając dłonie w fartuch podeszła do stołu i stanęła obok rozprawiającego mężczyzny.

Stał on na środku izby w jasnym kręgu światła lampy, poczerwieniały, z żyłami nabrzmiałymi na czole i zwisającym papierosem w drżących wargach. Tupiąc nogą i rozkładając ręce kłął:

– Do diaska, do czarta jasnego! Bóg wie skąd ściągają do tego domu włóczęgów za moimi plecami. Cóż to, nie jestem mężczyzną, gospodarzem tutaj? Może nie umiem? Może nie potrafię? Do ciężkiej cholery...

– Milcz, Alfredzie. – Stanowczy, niski głos kobiety przeciął zdecydowanie potok przekleństw.

Słowa uwięzły w gardle mężczyzny. Otwarte usta nadały jego twarzy głupkowaty wygląd. Stracił rezon. Tłuste policzki i broda zaczęły mu drżeć.

Stary człowiek odszedł od okna, wyprostował zgarbione plecy, długie, siwe wasy sztywno uniosły się w górę.

Mężczyzna kopnął ze złością leżące przy piecu polano i popatrzył na kobietę. Siedzący na ławie obcy dostrzegł w tym spojrzeniu tyle nienawiści, że z przerażeniem odwrócił głowę.

Trzasnąwszy drzwiami mężczyzna wyszedł z kuchni. Pozostali usłyszeli jeszcze głośniejsze trzaśnięcie drugich drzwi i chrzęst sprężyn łóżka, na które rzucił się całym ciężarem w ubraniu i brudnych butach.

Izbę zaległa głęboka cisza. Tym ostrzej zdawało się razić światło nie osłoniętej kloszem żarówki, a zimne spojrzenie niebieskich oczu kobiety zdawało się być bardziej wyraziste.

Obcy nie zmienił swej pozycji na ławie, odwrócił tylko głowę. Kobieta przyglądała mu się przez chwilę badawczo i wróciła do zmywania naczyń przy piecu.

Wysoki i kościsty stary człowiek usiadł zgarbiony na ławie. Opadły końce jego siwych wąsów. Patrzył teraz przez okno na drogę przysłaniając oczy dłonią. Sieci leżały na podłodze u jego nóg. Na dworze było już ciemno. Widać było gwiazdy. Za jeziorem i za zagonami pól wznosiła się wysoko w niebo ciemna ściana skał.

Kobieta milcząc myła naczynia. Wytarła je zgrzebną płócienną ścierką i pochowała do szafki. Kiedy wszystko już było zrobione, przystanęła na chwilę ze złożonymi na piersiach rękoma, popatrzyła na noc za oknem i na migocące światła położonej w dole wsi. W milczeniu zdjęła fartuch i usiadła przy stole. Nie patrząc na obcego odezwała się:

– Potrzebujemy człowieka do wszystkich prac w gospodarstwie. Kogoś, kto potrafiłby także samodzielnie zająć się polem. Jest nas tu tylko troje. Stary gospodarz także pracuje, robi tyle, ile mu siły pozwolą. Mój mąż...

Zatrzymała się przy tym słowie, jak gdyby było ono dla niej odrażające. Popatrzyła na swoje ręce. Przybysz także spojrział na nie. Na długich palcach silnych pięknych dłoni nie było obrączki.

Po chwili kobieta zaczęła spokojnie mówić dalej, jakby przy zmywaniu naczyń ułożyła sobie dokładny plan tej rozmowy.

– Mój mąż także pracuje z nami, gdy tylko dobrze się czuje. On... on był chory. Żadne z nas nie pochodzi ze wsi, i nie znamy się na uprawie roli. Potrzebujemy fachowej pomocy. Ale... – znowu zająknęła się.

Po raz pierwszy można w niej było wyczuć zażenowanie. Jak gdyby surowa duma nie pozwalała jej powiedzieć następnych słów. Przełamując się ciągnęła dalej:

– Ale chyba nie będziemy mogli trzymać pracownika dłużej, jak tylko do jesieni.

Obcy chrząknął poruszywszy się na ławie. Kobieta znowu zawahała się.

– I jeszcze jedna sprawa – mówiła po chwili dalej. – Jeśli najważniejsze jest dla was wynagrodzenie, to boję się...

Wówczas mężczyzna pośpieszył ze słowami:

– Nie zależy mi tak bardzo na pieniądzach. Do jesieni mogę pracować za wynagrodzenie, które mi przeznaczycie. Uznacie sami, ile możecie mi płacić. A potem zobaczymy.

Stary człowiek wstał z ławy, odwrócił się od okna i powiedziawszy dobranoc wyszedł do sieni. Drzwi kuchni zaskrzypiały i zamknęły się za nim cicho. Kobieta popatrzyła na przybysza. Zdawało się, że spojrzenie jej stało się jak gdyby trochę cieplejsze, a twarz nieco złagodniała.

Obcy podniósł wzrok i oczy ich spotkały się. Wtedy twarz jej przybrała znowu surowy, nieufny wyraz. Powiedziała twardo:

– Nie potrzebuję żadnych waszych świadectw. Dla mnie nic one nie znaczą. I już słyszeliśmy wszyscy, co jest w nich napisane. Nie interesuje mnie też, gdzie pracowaliście ostatnio i dlaczego stamtąd odeszliście. To wasza sprawa. Dla mnie najważniejsze jest to, że nie jesteście tutejsi. Nie jesteście chyba człowiekiem żonatym? To był warunek, który podałam w ogłoszeniu.

– Nie... – odpowiedział przybysz, po krótkiej chwili zastanowienia.

– Nie znam powodów, dla których godzicie się na tę pracę – dodała kobieta – i nie chcę znać. Pusto u nas, nawet ze wsi rzadko

kto tu zagląda. Chcę, żebyście i o tym wiedzieli. Będziecie spali tutaj w kuchni, na tym posłaniu pod ścianą. W lecie może będzie wam wygodniej w spichrzu. Jedzenie u nas proste, nie potrafię robić wyszukanych potraw, poza tym teraz na przednówku nie bardzo mam z czego. Chcę i to wam powiedzieć od razu na początku. Jeśli się na to godzicie, zostańcie.

Obcy wstał z ławy, podszedł do drzwi, powiesił kapelusz na kołku i walizkę postawił u wezłowania posłania. Powrócił na środek izby i popatrzył na kobietę.

– Jeśli was to dziwi, że zostaję – powiedział sztywno – chcę tylko wyjaśnić, że na pewno nie szukam tutaj schronienia przed prawem. – Zatrzymał się, jakby chciał dodać coś jeszcze. Kobieta przerwała mu jednak ruchem ręki.

– Nie ciekawią mnie wasze osobiste sprawy. Mam swoich dość. Kładźcie się spać, jeśli jesteście zmęczeni. Rano pokażę wam całe obejście. Wszystko to, co jest tutaj do pokazania.

W ostatnich słowach zabrzmiała gorycz. Wstała i spojrzawszy raz jeszcze na przybysza, wyszła z kuchni.

Obcy siedział nieruchomo na brzegu posłania, kiedy kobieta znowu zjawiała się w izbie. Zdjął właśnie z nóg przemoczone buty i mokre onuce. Pochyliwszy głowę przyglądał się stopom obolałym od długiego marszu, jak gdyby dopiero teraz zauważył na nich wyraźne ślady wędrówki.

Kobieta zbliżywszy się podniosła buty i postawiła je przy piecu, aby wyschły. Potem położyła na posłaniu obok mężczyzny czystą zmianę bielizny.

– Przymierzcie, może będzie na was pasowało – powiedziała bardziej surowo i oschle niż uprzejmie. – Rano możecie włożyć gumowe buty, które stoją w przedsionku. Są prawie nie używane. Odzież do prania połóżcie tutaj, przy piecu.

Mężczyzna podniósł się. Bez butów był trochę niższy i głowa jego niewiele przewyższała głowę stojącej przed nim kobiety. W tym właśnie momencie spojrzeli na siebie – zimne, niebieskie oczy kobiety wprost w szarozielone, poważne oczy obcego.

Niezręcznie wyciągnął dłoń.

– Starym zwyczajem należy umowę potwierdzić uściskiem dłoni – odezwał się nieśmiało i bezradnie. – Nazywam się Aaltonen.

Ale kobieta nie podjęła wyciągniętej dłoni. Stała nieruchomo i patrzyła nieufnie. Obcy zmieszał się.

– Nie znam panujących tutaj obyczajów – dodał niezręcznie. – Może nie wypada, żeby gospodyni podawała rękę parobkowi.

– Nie chodzi tu o zwyczaje – powiedziała wolno kobieta i wyciągnęła dłoń.

Obce dłonie spotkały się w krótkim uścisku i szybko rozłączyły. Ale w silnej, stwardniałej od pracy dłoni mężczyzny pozostało przez chwilę ciepło kształtnej i silnej kobiecej ręki. Przyzwyczajony do innych uścisków, ze zdziwieniem popatrzył na swoją dłoń, w której przez chwilę spoczywała jej ręka.

– Czujcie się tutaj dobrze, Aaltonen – powiedziała kobieta. – Czas na spoczynek. Jesteście bardzo strudzeni. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział i odprowadził wzrokiem wychodzącą z izby wysoką, zgrabną jej postać.

W domu zapanowała cisza.

Obcy ściągnął przez głowę wełniany sweter i rozejrzał się po izbie. Wstał, podszedł cicho do kontaktu i zgasił światło. Po chwili wzrok jego przyzwyczał się do mroku wiosennej nocy i z łatwością rozróżniał szare kontury sprzętów. Wrócił ostrożnie na swoje posłanie. Wraz z ciemnością powróciło bezlitosne zmęczenie. Nie rozbierając się już dalej, podłożył pod głowę tobolek, nakrył się starą

baranią skórą i wyciągnął na posłaniu. Dom ten stał się teraz jego domem.

W ciszy nocnej słyhać było chrobot korników toczących drewniane ściany. Wróżą śmierć – pomyślał zapadając w głęboki, twarde sen, w którym nie ma miejsca na marzenia.

– Kiedy kładłem się na pierwszy spoczynek w tym domu, korniki chrobetały w ścianie – wspominał potem często.

2

Obcy spał jeszcze, kiedy o świcie kobieta wsunęła się cicho do izby i nie włączając światła rozpała ogień i nastawiła wodę na kawę. Spojrzała przelotnie w stronę posłania i z pewną odrazą zauważyła, że mężczyzna nie rozebrał się do snu. Wprawdzie i jej zdarzało się, że kładła się spać nie umywszy nawet nóg po wieczornym udoju w oborze, ale bywało tak tylko w okresach największego przygnębienia, podczas ciemnych, zimowych dni, kiedy gorzyc zżerała jej duszę.

Od dawna już nie zajmowała się swoim wyglądem. Poza niezbędnymi zabiegami nie robiła niczego dla swej urody. Postępowała tak jak gdyby umyślnie. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku upływał na wyrzeczeniach, modłach i ofiarach, które nie przynosiły rezultatów. Stawało się to w końcu nie do zniesienia.

Poruszała się cicho po izbie, ranne godziny należały całkowicie do niej, i błogosławiła każdą chwilę, którą mogła spędzić sama. Mąż jej spał długo, a ona nie budziła go ani nie przynaglała do wstawania. Zimą, kiedy dni były krótkie, często nie wstawał wcale, ale to nie było dobre. Czasem, gdy wiedział, że stary gospodarz wyszedł właśnie do stajni lub dREWUTNI, wstawał i w samej tylko bieliźnie myszkował po kuchni.

Na dworze robiło się coraz widniej. Zniknęły cienie otulające pola, szara ziemia i pokryte szronem nagie gałęzie drzew wyłaniały się coraz bardziej z mroku. Ciemne zagony, wyczerpane wieloletnim rodzeniem ziarna, miały smutny wygląd w okresie topniejących śniegów.

Kobieta przystanąła przy oknie patrząc na pola i ścieżkę. Na podwórku gałęzie brzozy czerwieniły się w blasku jutrzeńki. Nad wsią snuły się już dymy z kominów, a ich smugi pochylały się w kierunku wiejącego wiatru. Rzeka, pokryta miejscami jeszcze lodem, lśniła niebieską wstęgą.

Pod kuchnią palił się ogień, gałęzie trzaskały wesoło w płomieniach. Kobieta odwróciła się i znowu spojrzała na śpiącego pod ścianą mężczyznę. Duża, spracowana ręka zwisała bezwładnie z posłania, na twarz pogrążoną w głębokim śnie opadły potargane włosy. W bladym porannym świetle widać było wyraźnie zmarszczki pod oczyma i głębokie bruzdy wokół ust. Kobieta chwyciła wiadro i bańkę i pośpieszyła do obory.

Wylewała właśnie pierwsze wiadro mleka do stojącej w drzwiach obory dużej bańki, gdy spostrzegła, że obnażony do połowy ciała obcy myje się przy studni. Nie zważając na przejmujący chłód mężczyzna mył się w lodowatej wodzie. Czerwone promienie wschodzącego słońca padały na jego chude, lecz muskularne ciało, szerokie, proste plecy i wąskie biodra. Kobieta patrzyła na niego jak na obcy przedmiot. Nagle, ku własnemu zdziwieniu ogarnęło ją jakby współczucie: ciężko być samotnym, bez własnego dachu nad głową, na służbie u obcych. Ale zaraz inna myśl przyszła jej do głowy: to przecież jeszcze nie najgorsze. Czasem samotność, bieda i praca na cudzym mogą oznaczać upragnioną wolność.

Kiedy powróciła do izby, mężczyzna był już czysto ubrany i ogolony. Spostrzegła to natychmiast, rzuciwszy krótkie spojrzenie mówiąc dzień dobry. Twarz obcego sina jeszcze z zimna, pozbawiona była wyrazu. Sen usunął z niej wielkie zmęczenie i napięcie związane z przybyciem do nieznanego miejsca. W tej chwili był to pracownik gotów do rozpoczęcia swoich zajęć.

Wprawdzie drżał jeszcze z zimna, ale jednocześnie czuł, że lodowata woda jak gdyby zmyła z jego ciała ślady wieloletniego brudu, wstyd i wstręt do samego siebie. Czekał teraz tylko na pracę.

Kiedy wyteżał mięśnie przy ciężkiej fizycznej robocie, czuł, że istnieje. Czuł, że jest to najlepsze lekarstwo dla człowieka, który pragnie raz na zawsze wykreślić z pamięci przeszłość.

Dlatego też pierwszego dnia, a także w ciągu następnych tygodni zajmowała go tylko praca. Nie myślał o niczym innym. Nie dopytywał się o nic. Nie zauważał niczego. Zachowywał się jak człowiek chory, który zobojętniał na to, co się dzieje w jego otoczeniu, i już do niczego nie przywiązuje wagi.

Pasował do tego domu i jego mieszkańców. Nikomu nie przypatrywał się dociekliwie. Niczego nie był ciekawy. Był – a zdawało się, że go nie ma. Stanowił podporę dla wszystkich nie zdając sobie nawet z tego sprawy i nie czekając podziękii. Wzbudzał zaufanie. W napiętej atmosferze obecność jego działała jak balsam. I dlatego właśnie źle się stało, że przybył do tego domu.

Słońce świeciło już pełnym blaskiem tego pierwszego poranka, kiedy obcy uwierzył, że rozpoczyna nowe życie. Mocny błękit wiosennego nieba zawisł nad polami, z których unosiły się jeszcze lekkie, białe opary.

Aaltonen pił kawę siedząc przy dużym kuchennym stole. Silnymi zębami gryzł czarny, wiejski chleb i czuł smak rozsmarowanej na nim margaryny.

Po śniadaniu kobieta pokazała mu zabudowania gospodarskie: oborę, stajnię i stodołę. W ciągu ostatnich lat przywykł do nieco lepszych warunków życia, nie był jednak zaskoczony tym co zobaczył. Oceniał właściwie stan, w jakim znajdowało się gospodarstwo. Nietrudno bowiem było spostrzec, że jest ono bardzo zaniedbane i chylące się ku upadkowi. Wszystko to było smutne dla człowieka lubiącego porządek i ład. W kacie niszczał nie zabezpieczony przed zimą, porzucony niedbale przestarzały sprzęt rolniczy. Duża obora robiła wrażenie pustej. Było tam tylko pięć krów i jedno ciele.

– Musieliśmy się pozbyć na jesieni bydła, ponieważ rok był nieurodzajny w siano – powiedziała kobieta i odwróciła spojrzenie.

Aaltonen obejrzał siano przeznaczone na paszę. Było spalone przez słońce na brązowo. Widocznie nie sprzątnięte w porę przemokło, a potem zbyt gwałtownie wyschło. Paszę uzupełniała słoma i otręby.

– Nie zrobiliście kiszonki? – zauważył nie czekając nawet na odpowiedź. Twarz kobiety zaczerwieniła się z lekka. Dumny wyraz pojawił się w oczach.

– Ja zajmuję się oborą i bydłem. Do was to nie należy – powiedziała sucho.

W stajni stała duża i dobrze utrzymana kobyła. Sierść jej była zupełnie biała. To pewnie ze starości, pomyślał Aaltonen. Koń strzyżąc uszami spoglądał na przybysza.

– Stary gospodarz zajmuje się stajnią – powiedziała kobieta. – Wychował ją od źrebięcia – dodała wskazując na kobyłę. – W młodości była dereszowata, takie same były jej źrebaki, dopiero na starość tak posiwiała.

Aaltonen poklepał kobyłę po szerokim zadzie. Tu, w stajni, pośród zapachu końskiego potu i nawozu poczuł się bardziej swojsko. Stajnia bowiem od najdawniejszych czasów należała niepodzielnie do mężczyzn.

– Czy jest żrebna? – spytał wskazując na kobyłę. Kobieta odwróciła głowę i nie odpowiedziała.

– W każdym razie to jeszcze silny koń roboczy – rzekł Aaltonen, choć nie był o tym przekonany. – Ale – zawahał się chwilę – w lecie, w tak dużym gospodarstwie nie damy sobie rady mając tylko jednego konia.

Kobieta podeszła do zakurzonego okienka stajni i patrząc na podwórko odezwała się:

– Zwykle na wiosnę kupowaliśmy nowego konia. Można je było tanio kupić, bo są wyniszczone na zimowej zwózce drzewa z lasu. W lecie przy lżejszej pracy poprawiały się i na jesieni sprzedawaliśmy je z zyskiem.

– W tej chwili konie są w wysokiej cenie – zauważył Aaltonen.

Kobietą milczała patrząc w zamyśleniu przez okno. Po chwili odwróciła się w jego stronę i założone do tyłu ręce oparła mocno o parapet okienny.

– Czy naprawdę nie damy rady tej wiosny bez drugiego konia? – spytała cicho.

Po raz pierwszy obcy odczuł, w jak wielkich kłopotach żyła ta kobieta i jak trudno przyszło jej to pokorne pytanie o radę. Zamyślił się i oglądając wiszącą na ścianie, wielokrotnie naprawianą uprząż, powiedział nie podnosząc wzroku.

– Wszystko można, jeśli się bardzo chce. – Słowa te skierował także do siebie.

Było to więcej niż odpowiedź na zadane mu pytanie. Kobieta powtórzyła te słowa powoli:

– Wszystko można, jeśli się bardzo chce.

Stała tyłem odwrócona do światła i Aaltonen nie widział jej twarzy. Widział tylko wysoką i zgrabną postać, w której było coś sztywnego i bezlitosnego.

Ta kobieta jest zła dla samej siebie, czy może więc być dobra dla kogokolwiek? – pomyślał mgliście.

Bez słowa powrócili na podwórko. Dzień był ciepły. Słońce roztopiło już ziemię i stopy zapadały się w gliniasty grunt. Z drewnutni dochodziły odgłosy rąbanego drzewa. Stary gospodarz widocznie wstał już i zabrał się do swojej roboty.

Kobieta weszła do izby. Aaltonen zostawszy na podwórku popatrzył na wznoszące się znad brzegów jeziora, smutne pola. Rosnące nad rowami wierzby opuszczały nisko gałązki na zagony. Już teraz wyobrażał sobie, jak w letnie wieczory mgła unosząca się nad wodą otula najniżej położone pola.

Trzeba było zimą nawieźć gliny i piasku. Można było też spróbować wapno – pomyślał.

Potem poszedł za oborę. Złożony był tam pod drewnianym daszkiem nawóz. Daszek z jednej strony podparto grubym palem drzewa, w którym tkwił wbity duży ogrodniczy nóż. Na pewno gospodarował tu stary człowiek.

Aaltonen odgarnął nogą nawóz i sprawdził, że leży on na podmurowaniu z cegły. Gnojówka spływała ze stoku wzgórza wąskimi strugami. Spojrzał znowu na pola i ciężko westchnął. Doprawdy nie wiadomo było, od czego zacząć.

Poszedł wolno w kierunku drewnutni. Ciepły, lekki wiatr gonił po niebie obłoki i niósł od pól miły zapach ziemi i żywicy.

Stary gospodarz rąbał drwa, ale spostrzegłszy nadchodzącego, przerwał pracę wbijając siekierę w pień. Był bardzo wysoki. Nawet lekko pochylony zdawał się jeszcze o głowę wyższy od Aaltonena. Przez dłuższą chwilę stali milcząc naprzeciw siebie. Pierwszy odezwał się Aaltonen:

– Może oprowadzilibyście mnie po polach i uzgodnilibyśmy, od czego zacząć wiosenne prace.

Stary człowiek zwrócił ku niemu chuda, pomarszczoną twarz.

– Najpierw trzeba naprawić ogrodzenia – powiedział. – To trzeba zrobić przede wszystkim. Zaczniemy choćby dzisiaj.

Kobieta wyjrzawszy przez kuchenne okno zobaczyła, jak wchodzą po stromej ścieżce na szczyt wzgórza. Na przodzie w

połatanej kapocie szedł stary gospodarz, a za nim Aaltonen niosąc paliki, nożyce i długie zwoje drutu. Po chwili zniknęli w lesie.

Minał ranek i zaczął się dzień. W komorze skrzypnęło łóżko i dały się słyszeć kroki. Wzrok kobiety stał się jeszcze bardziej twardy i surowy.

Do wieczora Aaltonen zdażył poznać gospodarstwo. Obejrzał wschodzące oziminy, płytko przeorane pola, położone za nimi łąki, zniszczony, bezładnie wycinany las, w którym gdzieniegdzie tylko wznosiły się jeszcze mocne, wysokie drzewa. Ze zgorzeniem spostrzegł, że w pewnym miejscu kawał lasu został wykarczowany pod zagony. Jak to? Wycina się nowe pole, kiedy stare są źle uprawione i zaniedbane? W tym widoku było coś, co wzbudzało grozę i gniew.

To samo uczucie powróciło, kiedy pod wieczór spoglądał z wysokiej skały na pola. Przed sobą miał stary dom i wznoszącą się z komina smugę dymu, szare zabudowania i jezioro położone między ścianą skał i lasem.

Stary gospodarz zdażył już ostrzec go przed jeziorem. Było ono bardzo głębokie – jak powiedział – prawie bez dna. Brzegi osuwały się pod stopami. Niebezpieczne było dla ludzi i bydła.

Patrząc na to wszystko Aaltonen bezwiednie pochylił głowę. Zdrowy instynkt kazał mu ze wszystkich sił pomagać. Podnieść to chylące się ku upadkowi gospodarstwo. Zdawał sobie sprawę, że sam nie podoła temu. Była to chyba ziemia skazana na zniszczenie. Trzeba było jednak ratować. Ogarnęła go przemożna chęć niesienia pomocy. Nie wiedział, komu właściwie chciał pomóc. Czy tej samotnej, surowej i dumnej kobiecie? Myśląc o tym poczuł serdeczne i głębokie współczucie. Zaczął obliczać w myśli, co trzeba będzie koniecznie zakupić przed rozpoczęciem wiosennych prac w polu. Nie wiedział, czy jest ziarno na zasiewy, sztuczne nawozy. Nie znał cen, ale na dole, we wsi widział sklep, gdzie można się o nie dowiedzieć. Był pewien, że kupić będzie można tylko rzeczy

najniezbędniejsze. Trzeba zrobić dokładny wykaz i dopiero rozpocząć rozmowy z gospodynią – pomyślał.

Na wieczerę były ziemniaki gotowane w łupinach, śledź i smażone placki z mąki. Wszyscy czworo siedzieli razem przy nie nakrytym stole i każdy jadł na swój sposób. Mężczyzna mieszkający w izbie za kuchnią – Aaltonen nawet w myślach nie nazywał go gospodarzem – pogardliwie spoglądając na stojące przed nim potrawy, jadł niewiele, posługując się nożem i widelcem. Zdawało się, że w ten sposób chce się wyróżnić od pozostałych. Nie mówił nic. Rzucał tylko od czasu do czasu złe i podejrzliwe spojrzenia.

Udając się na spoczynek Aaltonen spostrzegł, że naszykowano już dla niego posłanie. Czyste prześcieradło, czyste, choć zgrzebne powleczenie. Kiedy otworzył swoją walizkę, zauważył, że ktoś w niej szperał. Nie miał wprowadzić nic do ukrycia, ale zaskoczyło go to niemile. Nie podejrzewał o to kobiety. Szybko jednak pozbył się myśli o tym i zapadł w głęboki, zdrowy sen. Twarde posłanie było wygodne, a izba stała się dla niego bliska i znajoma.

O świcie odwiózł mleko do mleczarni, która znajdowała się we wsi odległej o kilka kilometrów. Mleczarz przyglądał mu się z uwagą, a dwóch woźniców pozdrowiwszy go miało ochotę na rozpoczęcie rozmowy. Aaltonen nie wdał się jednak w pogawędkę. Załatwiwszy sprawy ruszył w powrotną drogę.

Czuł wyraźnie, że kobyła go nie lubi. Szła niechętnie, często prychając i strzyżąc uszami. Nie było w tym nic dziwnego. Przywykła do starego gospodarza i nie lubiła obcych. Nie martwiło to Aaltonena. Raziła go jeszcze dość niezwykła maść tego konia. Była ona równie dziwna, jak wiele innych rzeczy w domu, do którego przybył niedawno.

Czas płynął. Dni schodziły mu niepostrzeżenie na pracy, której miał pod dostatkiem. Od dawna na farmie brakowało pracownika i widać to było na każdym kroku. Czasem, kiedy podnosił głowę znad roboty, widział nad sobą jasne sklepienie nieba, a łagodny, ciepły

wiatr wiejący od pola chłodził mu czoło. Wieś była daleko. Daleko też pozostały miasta i fabryki, a otaczające go smutne skały i mało urodzajna ziemia stawały mu się tym bliższe, im częściej ogarniał je spojrzeniem.

Pewnego wieczora, po powrocie z pola, zastał dom pusty. Kobieta doła jeszcze krowy w oborze. Ledwie zdążył zdjąć w progu zabłocone chodaki i powiesić kapotę na kołku, gdy z izby za kuchnią wyszedł mężczyzna i od razu rozpoczął rozmowę, jakby od dawna czekając na tak stosowną okazję.

– Posłuchajcie, Aaltonen – rzekł starając się zapanować nad rozbieganym spojrzeniem i nadać twarzy poważny wygląd. – Już poprzednio zajmowaliście się ogrodnictwem, jesteście więc tutaj bardzo pożądanym człowiekiem. Od dawna potrzebuję pomocy. Zdajecie sobie chyba sprawę z tego, że uprawa roli na nic się u nas nie zda. Trzeba zająć się ogrodnictwem, i to ogrodnictwem na dużą skalę. Nie żadne tam zagonki pod babskie marchewki czy cebule. Spójrzcie – położył dłoń na ramieniu Aaltonena, wskazując na rozciągający się za oknem widok na południowe zbocze i jezioro.

Lody już stopniały, i powierzchnia wody odbijała blask wieczornego nieba. W pobliżu domu, na niewielkim skrawku odtającej a nie pokrytej jeszcze trawą ziemi, rosło kilka krzewów porzeczek i pokrzywionych ze starości jabłonek.

Aaltonen znał ten widok dobrze, nie przyglądał się więc uważnie, zaskoczony był wrażeniem odrazy, jaką wzbudziła w nim miękka, nie skalana pracą ręka, która przed chwilą spoczęła na jego ramieniu. Czuł wstęt do tego przedwcześnie wyłysiałego, niższego od siebie mężczyzny i czuł instynktownie, że dusza tego człowieka podobna jest do omszałego, rozpulchnionego grzyba.

Obrzydzenie budziły w nim obwisłe policzki, opadające kąciki ust, i miękko zarysowany, kobiecy podbródek. Oczy, które unikały spojrzenia wprost, podobne były do dwóch wąskich szparek.

– Spójrzcie, Aaltonen – południowe, nasłonecznione zbocze, miękka, dobra ziemia. Najpierw posadzimy tu pięćdziesiąt jabłonek. Pomiedzy nimi zrobimy zagony pod uprawę warzyw, mogą to być ziemniaki. Czytałem, że tak się robi. A tutaj, po drugiej stronie, ogórki i pomidory. Osobno duża plantacja truskawek. I dalej: buraki, marchew, kapusta, brukiew aż po sam brzeg jeziora. Zrobiłem już plany. Dokładnie wszystko wyrysowałem. Chodźcie, pokażę je wam.

Otworzył drzwi do izby znajdującej się za kuchnią i Aaltonen po raz pierwszy znalazł się w części domu zamieszkałej przez gospodarzy. Pobieżnie słuchając gadaniny mężczyzny uważnie rozglądał się dokoła. Stało tu wąskie łóżko, szafka przy ścianie, pośrodku stolik i krzesło, a na podłodze leżał dywanik tkany z pasemek materiału. W izbie panowały porządek i ascetyczna surowość. Domyślił się, że był to pokój gospodyni.

Dalej była jeszcze jedna izba, w której mieszkał mężczyzna. Tam właśnie wprowadził Aaltonena.

Był to duży, przestronny pokój, utrzymany w zupełnie innym charakterze niż cała reszta domu. Z okna rozciągał się widok na jezioro i wznoszące się po jego drugiej stronie lasem porośnięte skały. Ściany pokoju pokryte były świeżymi, jasnoszarymi tapetami.

Na biurku leżały w bezładzie papiery, linijki, miarki, kartki milimetrowego papieru do kreślenia planów. Pod ścianą stała niska, zapelniona książkami półka. Pootwierane, niedbale porzucone książki poniewierały się także po stole i krzesłach. Były wśród nich wydawnictwa szwedzkie i niemieckie, Aaltonen spostrzegł także fachowe publikacje z dziedziny ogrodnictwa.

Popatrzył wreszcie uważniej na mężczyznę. Stał on przy biurku z jedną ręką w kieszeni i mówiąc bez przerwy, drugą wskazywał na leżące przed nim wykresy.

Aaltonen pomyślał, że sąd jego o tym człowieku jest może mylny, że słowa jego rzeczywiście zasługują na większą uwagę, niż początkowo mu się wydawało. Słuchał więc teraz w większym skupieniu, lecz nie przestawał rozglądać się ciekawie po pokoju.

Niezasłane łóżko i wygnieciona pościel świadczyły o tym, że gospodarz wylegiwał się także podczas dnia. Wokół łóżka i na pościeli widać było popiół niedbale strząsany z papierosów. Leżącą na półce otwartą książkę pokrywał cienką warstwą kurz. Na ścianie nad łóżkiem poprzyklepane kolorowe zdjęcia z czasopism przedstawiały roznegliżowane kobiety w bardzo swobodnych pozach.

Po chwili spojrzenie Aaltonena spoczęło na radiu. I ono także zarzucone było papierami i książkami.

Przerywając przydługie wywody mężczyzny, odezwał się bez zastanowienia:

– O, ma pan także radio.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, jak gdyby zastanawiając się nad znaczeniem słów, które usłyszał.

– Radio, radio – powtarzał bezmyślnie. – Tak, mam radio – rzekł nagle – ale nie gra to diabelskie pudło. Rok temu zapłaciłem za nie dwa tysiące marek. Nie, chyba więcej, dwa tysiące osiemset marek, a może nawet pełne trzy tysiące. I nie gra. Nie chce mi się ciągle go naprawiać. Niech sobie nie gra.

– A czy ma pan antenę na zewnątrz? – zapytał Aaltonen.

– Nie. Jak gra, to gra i bez anteny. Trzeba by się wdrapywać na dach, tego mi jeszcze brakuje, do diabła. Ogród, tylko ogród jest ważny. Spójrzcie, mam tutaj plany. Na początek pięć inspektów. Możecie od jutra zacząć robić skrzynie, dam wam wymiary i rysunki. Oszklone ramy zamówi się w mieście.

Słuchając tego gadania Aaltonen spojrział na okno. Przykląkł, żeby jeszcze dokładniej przyjrzeć się temu, co zauważył. Ramy okien

przybite były gęsto mocnymi gwoździami do framugi, tylko mały wywietrznik na górze można było swobodnie otwierać. Bez rozbicia szyby nikt nie mógł otworzyć całego okna.

– Pięćdziesiąt jabłonek przyniesie nam pięć tysięcy marek czystego dochodu rocznie – liczył głośno mężczyzna, rzucając cyfry na kartkę papieru. – Łatwo znajdzie się na nie zbyt. A kiedy hodowla drzew rozwinie się, wyprą one z rynku importowane jabłka, bo cło wzrośnie tak, że ich przywóz przestanie się opłacać. Warto więc hodować jabłonie. Wiem o tym dobrze, jest to już ustalone. A jeszcze ogórki, pomidory, porzeczki. Ci głupcy tutaj nie znają się na tym zupełnie. Głupota, brak inicjatywy. Niech mają sami do siebie pretensje, jeśli nie mogą wyżyć z gospodarstwa. Idę o każdy zakład, że za pięć lat sad i ogród warzywny dadzą równie wysokie dochody, jak wszystkie te pola razem. Uzyskane pieniądze znowu włoży się w ogród, powiększy się go, wybuduje cieplarnię, kupi używany samochód, którym regularnie, dwa razy w tygodniu można będzie odwozić towar na targowisko.

Aaltonen chciał coś powiedzieć i wolno dobierał w myśli słowa.

Mężczyzna tymczasem, klnąc pod nosem z niecierpliwości, usiłował podsumować nabazgrane na kartce cyfry.

Aaltonen odezwał się cicho:

– Należało jeszcze w jesieni przygotować ziemię pod inspekty, naszykować nawóz. Mamy go bardzo niewiele, nie wystarczy na pola.

– Do diabła z polem, i tak z tego pieniędzy nie będzie – odparł ze złością mężczyzna, a grube jego wargi zaczęły drżeć ze zdenerwowania.

W nieskończoność powtarzał kilka tych samych przekleństw.

Aaltonen pozostawił go stojącego przy biurku i wyszedł, zamykając cicho za sobą drzwi. Zauważył w nich nowy, mocny zamek. Drzwi zamykały się od strony pokoju gospodyni, ale klucza

w zamku nie było. Aaltonen rzucił jeszcze spojrzenie na wąskie, stojące pod ścianą łóżko i wrócił do kuchni.

Kobieta nadeszła właśnie z obory niosąc wiadra z mlekiem. Nie spodziewając się widoku Aaltonena, drgnęła i przybrawszy właściwą sobie surową postawę, spojrzała bacznie na niego.

Zauważył przestrach w jej zachowaniu, pośpieszył więc z wyjaśnieniem. Mówił spokojnie, pilnując się, aby ton głosu zabrzmiał obojętnie.

– Trzeba się zabrać do przygotowania skrzyń na inspekty. Oszklone ramy podobno zamówi się w mieście.

Zawahał się przez chwilę, czy dodać jeszcze „pan kazał” albo „gospodarz tak kazał”, ale obydwie te określenia wzbudzały w nim jednakową niechęć, nie powiedział więc nic więcej.

Byli w izbie we dwoje. Pracowity, zmudny dzień dobiegał końca. Zbliżał się wieczorny odpoczynek. Nadarzała się sposobność do powiedzenia tego, co powinno było zostać powiedziane na początku, było to jednak bardzo trudne, i Aaltonen odkładał tę rozmowę na przyszłość w nadziei, że wszystko ułoży się dobrze bez niepotrzebnych słów.

Kobieta przysiadła na brzegu skrzyni, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała wprost na Aaltonena. Niedbale odgarnięte włosy odsłaniały opalone już nieco wiosennym słońcem czoło. Z nóg nie zdjęła jeszcze zabrudzonych nawozem chodaków. Spojrzenie niebieskich oczu było poważne i stanowcze.

– Ten tam – powiedziała wskazując ruchem głowy w stronę izby za kuchnią – nic nie znaczy w tym domu. Jeśli będzie się z czymś do was zwracał, zachowujcie się tak, jakbyście nie słyszeli tego, co mówi. On nic tutaj nie znaczy. Zupełnie nic. Czy będzie prosił, obiecywał lub groził, nie zwracajcie na to uwagi. Tak będzie najlepiej.

Surowa i poważna, nie spuszczać oczu z Aaltonena, siedziała nadal ze splecionymi rękoma na brzegu skrzyni.

Aaltonen nieco odwrócił głowę.

– Dobrze – odezwał się po chwili cicho.

Tego wieczoru kolację jedli we troje. Z izby za kuchnią nie dochodził żaden szelest. Margaryny nie było już na stole. Aaltonen i stary gospodarz smarowali pajdy czarnego chleba smalcem, posypując gruboziarnistą solą.

– To prawdziwy posiłek wieśniaka – powiedział stary gospodarz z uśmiechem.

Im mniej było jedzenia na stole, tym bardziej wydawał się być zadowolony. Wystarczało mu trochę mleka i czarna skiba chleba. Był on także jedynym z nich, który kładąc złożone na krzyż żylaste ręce na brzegu stołu, błogosławił jedzenie przed rozpoczęciem posiłku. Widać było, że w odległym dzieciństwie, które upłynęło dawno przed nową epoką, zaznał głodu. Zaszczepiło mu to na zawsze szacunek dla chleba.

Po upływie kilku dni Aaltonen wziął na swoje barki część obowiązków domowych. Przynosił wodę, rąbał drwa i jeśli mu tylko czas pozwolił, sprzątał także oborę. Najpilniejsze prace wiosenne w polu jeszcze się nie rozpoczęły. Prawdziwą troską napawał Aaltonena brak ziarna siewnego. Niewiele go było w stodole. Mówił o tym stary gospodarz, a i sam Aaltonen to zauważył. O ogrodzie nie było więcej mowy.

Pewnego wieczoru, kiedy Aaltonen sprzątał oborę, wszedł przez uchylone wrota mężczyzna, wymknąwszy się cicho z izby za kuchnią. Omijając nawóz, by nie ubrudzić butów, trzymaną w ręku różgą uderzał grzbiety krów. Aaltonen spokojnie wybierał gnój z przegród i rzucał go na kupy wzdłuż przejścia. Zdawał się nie zauważać przybysza. Mężczyzna zbliżył się i ochryplym głosem zapytał poufnie:

- Nie macie czasem trochę wódki?

Aaltonen udawał, że nie słyszy. Mężczyzna pochylił się ku niemu. Jego obrzmiała twarz świeciła w mroku obory.

- Przywieźcie mi wódki, jak będziecie w mleczarni. Zapłacę wam.

Aaltonen wyrzucał właśnie mokry nawóz na środek obory. Nadal udawał, że nie słyszy. Mężczyzna zacisnął pięści w bezsilnej złości i odezwał się znowu, zerkając równocześnie, czy aby nikt nie słyszy tych słów:

- W przyszłym tygodniu dostanę pieniądze, dużo pieniędzy. Napisałem już do miasta. Przywieźcie mi wódki w sobotę, dostaniecie sto marek. Zapłacę nawet dwieście.

Widły trzasnęły w kupie gnoju, w rękę Aaltonena został złamany trzonek.

- Cholerne szczury - zaklął i rzucił trzonek w ciemny kąt obory.

Mężczyzna odskoczył do tyłu i kiedy już bezpiecznie stał pośrodku obory, wyjąkał trzęsąc się:

- To wy szczury...

Potem uderzył różgą grzbiet najbliższej krowy, tak że zwierzę dzwoniąc łańcuchem zerwało się na nogi, i szybko wyszedł z obory.

Aaltonen wyjął ostrze wideł z nawozu, znalazł odrzucony trzonek, obejrzał miejsce złamania, jakby ubolewając nad szkoda, i podszedłszy do uderzonej krowy pieściliwie zaczął głaskać jej grzbiet. Zwierzę drżało. Aaltonen poczuł, że tak samo drży jego ręka.

3

Lody stopniały, na podwórku zazieleniła się już pierwsza trawa, a na pobliskich skałach ciemne świerki nabrały świeżości i zaczęły żyć. Stary gospodarz pływał wieczorami czółnem po jeziorze. Zakładał sieci w miejscu, skąd wypływał wezbrany teraz, szumiący potok. Potok spływał po skalnym zboczu w dół do rzeki. Podobno w lecie wysychał zupełnie, ale teraz płynął wartko, wezbrany świeżą wodą, i omijając saunę i wysokie świerki, przecinał pastwisko i zagony wschodzącej oziminy.

W pewien pogodny wiosenny ranek, gdy Aaltonen zwoził nawóz na pola, ujrzał starego gospodarza wracającego znad jeziora. Na wierzbowej nitce niósł on zatknięte trzy spore szczupaki. Był to jego najlepszy połów do tej pory, toteż twarz starego jaśniała zadowoleniem. Idąc uśmiechał się. Ujrzawszy nadjeżdżającego Aaltonena, zatrzymał się i podkreślił wąsa. Aaltonen stanął z wozem.

Od pewnego już czasu Aaltonen doznawał uczucia człowieka budzącego się z długiego snu. Zaczął wreszcie jakby żyć od nowa. Otaczający go świat nabrał ostrych i świeżych barw. Właśnie ten nastrój sprawił, że chętnie zatrzymał się na pogwarke ze starym gospodarzem.

Chudy starzec podsunął pod oczy Aaltonenowi złowione ryby. Wszystkie trzy były prawie czarne, jak zwykle ryby z błotnistej, ciemnej wody. Największy szczupak poruszał jeszcze skrzelami, a w jego paszczy błyskały raz po raz ostre zęby drapieżcy. Ryby te były dla Aaltonena znakiem, że życie jest wszędzie, nawet w tych nieruchomych i zdawałoby się martwych głębinach jeziora.

– Będzie świeża ryba na kilka dni – zauważył starzec od niechcienia.

Aaltonen spojrział w jasne, okolone zmarszczkami oczy starego i nagle poczuł, że człowiek ten stał mu się bardzo bliski. Pomimo dużej różnicy wieku coś ich łączyło. Był to wzajemny głęboki szacunek. Obydwaj służyli ze wszystkich sił tym mizernym polom, tej starej ziemi, wyrwanej niegdyś lasom i kamieniom.

Ranek był słoneczny, nowy dzień jaśniał radośnie, a widok świeżej ryby nęcił wzrok. Stara kobyła podniosła łeb wysoko i zarżała donośnie.

– Mów do mnie po prostu Herman – powiedział stary przyglądając się z uwagą szczupakom. – A jak ciebie zwa?

– Mówią na mnie Jonn – odpowiedział po chwili wahania Aaltonen.

Stali tak naprzeciw siebie dłuższą chwilę. Kościsty, zgarbiony stary człowiek w połatanej kapocie, trzymając w ręku kij z nadzianymi rybami i chudy, muskularny mężczyzna z lejcami w ręku, opierający się o wóz.

– Nie będą miały pola dosyć nawozu w tym roku – rzekł po chwili Aaltonen.

Spojrzeli razem na wznoszące się strome zagony, na których widać już było gdzieś sterczące kopczyki gnoju.

– Słabo też będzie z nasieniem – powiedział stary gospodarz.

Aaltonen chciał już zapytać, na czym polega ta przeszkoda nie do pokonania, która nie pozwala na kupno rzeczy najniezbędniejszych w gospodarstwie, ale nie była to przecież jego sprawa. Do niego należała praca, którą powinien był przy pomocy posiadanych środków wykonywać jak najlepiej.

– Trzeba by choć trochę sztucznych nawozów – zaczął i nie dokończył zdania.

– Będzie kilka worków potasu – powiedział stary. – A przecież wiatr, słońce i deszcz są w końcu najważniejsze dla zbiorów. Czasem

największe nawet staranie nie daje urodzaju. Żyło się dawniej bez szkół i agronomów. Obrodzi i chuda ziemia, jak jest dobry rok. Człowiek tyle tu może, co gdyby dmuchał na wiatr.

Znowu zamilkli stojąc na polu wśród wiosennego dnia. Nabrzmiące pączki rosnącej opodal brzozy lśniły w słońcu. Wysoko w powietrzu ptak śpiewał radosną pieśń.

– Chyba dawno już mieszkacie tutaj, gospodarzu? – odezwał się Aaltonen.

– No, nie całe życie przecież – odparł wolno stary. – Moja rodzina rozproszyła się po świecie. Jestem, ostatnim ze starego pokolenia, który mieszka na wsi. Reszta przeniosła się do miasta. Kiedy byłem młody, wędrowałem wiele po świecie, pracowałem w Inkeri jako pomocnik kowala. Pływałem też po morzach. Kiedy wróciłem, umarł właśnie wuj Joose. Śmierć zabrała go nagle, kiedy poszedł po konie na pastwisko. Mogę ci pokazać miejsce, gdzie go znaleźliśmy. To był dobry gospodarz, ale cóż, serce nie wytrzymało dłużej.

– A ci teraz – Aaltonen wskazał głową na dom. Nie mógł powstrzymać się od tego pytania.

Uśmiech znikł z twarzy starego. Zawahał się nad odpowiedzią, ale wreszcie odezwał się cicho, ważąc każde słowo.

– Dopiero trzeci rok mieszkają tutaj. Przed nimi gospodarzyli obcy ludzie. Nie zależało mi na tym, kto ziemię uprawia, bylebym miał zapewniony kawałek chleba i własny kąt w sieni. Nie mogę już ciężko pracować. Ledwie do południa starczy mi tchu w piersiach i sił do roboty. On, ten Alfred, jest z nami spokrewniony przez matkę. Mówią o nim inżynier, ale jaki z niego inżynier, to ja tam nie wiem. Pamiętam dobrze, co mi opowiadano o jego dziadku. Żona porzuciła go i wraz z dzieckiem powróciła tu na wieś. Wkrótce potem umarła. Pijak mąż przyjechał tu na jej pogrzeb, a że trumna była jeszcze otwarta zakradł się i przyłapano go, jak chciał z palca nieboszczki

ściągnąć obrączkę. Potem wyemigrował gdzieś w głąb Rosji i nie słyszano o nim więcej. Ale zostawił swoją krew w spadku. Ten Alfred to właśnie jego potomek.

Opowiadając stary patrzył na jezioro. Był zamkniętym w sobie, skrytym człowiekiem, i Aaltonen czuł, że na pewno wstyd mu tej gadaniny.

– No, ale słońce stoi już wysoko – zauważył i pociągnął za lejce. Stary ruszył z rybami stromą ścieżką w stronę domu.

Wraz z nadejściem wiosennych dni mieszkający za kuchnią mężczyzna stawał się coraz bardziej niespokojny. I on brał udział w pracach w polu. Czasem rozrzucał nawóz, ale przeważnie usuwał pnie i korzenie z wykarczowanego w lesie pola. Chwalił się, że to jego dzieło. Pracował chaotycznie i pośpiesznie. Zapału starczało mu zaledwie na kilka godzin, po czym rzucał wszystko i spocony i zły kładł się na skraju pobliskiego lasu. Nigdy nie osiągnął równego rytmu pracy doświadczonego gospodarza. Zniechęcał się z byle powodu: gdy złamał trzonek motyki, albo ostrze siekiery zawadziło o twardy kamień. To wystarczyło, by przerywał pracę, ze złością przeklinał nie nadające się do niczego narzędzia i rozwścieczony rzucał kamieniami w stado kur grzebiących na podwórku.

Wieczorami włóczył się koło obejścia. Czerpał wodę ze studni i pił ją wielkimi haustami. Godzinami wysiadywał za stodołą i wpatrywał się uparcie w drogę wiodącą do wsi.

Pewnej nocy obudziły Aaltonena hałasy dochodzące z izby za kuchnią. Słysząc było głos mężczyzny i łomotanie do drzwi gospodyni. Aaltonen podniósł się i oparłszy głowę na łokciu nasłuchiwał w napięciu. Serce biło mu mocno.

Widocznie mężczyzna usiłował wydostać się ze swojej izby. Kopał w drzwi dzielące go od gospodyni i kładł szeptem, bojąc się obudzić pozostałych domowników. Kobieta mówiła coś do męża przez drzwi. Aaltonen nie rozróżniał jednak słów. Nagle usłyszał

nowy hałas. To stary gospodarz walił pięścią w ścianę wołając głośno:

– Cicho tam, bo przyjdę z polanem...

Wtedy ucichło wszystko. Aaltonen leżał jeszcze przez chwilę bez ruchu. Zanim zasnął usiłował przekonać sam siebie, że nic go to nie obchodzi. Nie są to jego sprawy i nie proszono go przecież o pomoc. Nie była to jednak prawda. Świadczyło o tym przyspieszone bicie jego serca.

Kobieta była w tym czasie bardzo zdenerwowana. Widać to było w drżących ruchach jej rąk, w zmęczonym spojrzeniu. Zachowywała się niespokojnie, jakby przeczuwając coś złego. W jej oczach czaiła się jak gdyby niema prośba o pomoc. Ale obcy nie mógł jej pomóc nawet słowem. Wywoływało w niej ono jeszcze większe napięcie, a wzrok jej nabierał zaraz twardego i surowego wyrazu.

Ciepłe, nieśmiałe uczucie opanowywało Aaltonena, kiedy o zmroku, po spożytej wieczerzy, odpoczywając na ławie pod ścianą, spoglądał ukradkiem na gospodynię. On cierpiał także. Czuwał nocami, a w dzień również nie opuszczało go zmartwienie. Snuły mu się po głowie najgorsze myśli. Bał się przemocy i zbrodni. Chciał bardzo pomóc, ale kobieta wołała widocznie być zupełnie sama w swych troskach.

Była już mowa o niezbędnych zakupach do gospodarstwa. Zaorane i zbronowane pola czekały już na ziarno. Stara ziemia niecierpliwie wyglądała siewów, deszczu i wiosennego wiatru.

Pozostawiony na nasienie owies był bardzo zanieczyszczony. Trzeba było także pomyśleć o zasiewie paszy, by zapewnić pożywienie bydłu, bo inaczej nie będzie dochodu z mleka. Także okopowe rośliny należało posadzić z myślą o własnych potrzebach i sprzedaży. Nie było na to. Kobieta opuszczała tylko głowę, a z całej jej postaci mimo dumy i surowości biła bezradność.

Aaltonen w końcu zrozumiał. – Wszystko można, jeśli się tylko chce – powiedział znowu, nadając głosowi brzmienie pogodne i pełne nadziei, której sam nie miał.

Wówczas kobieta spojrzała na niego i zauważył, że wyraz jej oczu stał się pogodniejszy, ale nie uśmiechnęła się. Aaltonen nigdy jeszcze nie widział uśmiechu na jej twarzy.

Był to ponury dom. Czarna woda jeziora, ostra ściana skał, mizerne pola, w stajni stara kobyła – wszystko to wywierało smutne wrażenie, gasiło uśmiech i radosną jasność wiosennych dni.

Tylko niebo było tutaj rozległe, kiedy patrzyło się na nie stojąc na progu domu; większe niż tam na dole, we wsi, większe niż w mieście, większe także niż w porosłej z rzadka świerkami równinnej okolicy przemysłowej, skąd przybył Aaltonen.

Ten obraz wracał do niego czasami, ale nie sprawiało mu to już cierpienia. Pozostawił tam jak gdyby część swej osoby, ale była to już część martwa i skazana na zapomnienie. I tak było dobrze.

Sytuacja jednak trochę się rozjaśniła. Rzeźnik ze wsi kupił cielę, a pieniądze uzyskane za miesięczne dostawy mleka do mleczarni wystarczały na codzienne utrzymanie domu. W sklepie we wsi zamówiono ziarno, a stary gospodarz, przewracając raz po raz poźółkły i wytarty po rogach kalendarz, wypatrywał dogodnej kwadry księżyca, aby rozpocząć siewy.

– Jeszcze trochę – mówił, widząc zniecierpliwienie Aaltonena.

Dni były ciepłe, trawa zieleniła się coraz bardziej, a pola z utęsknieniem czekały na ziarno.

– Posłuchaj mnie i uwierz – mówił stary – księżyc lepiej niż książki i agronom wskaże, kiedy siać, aby był dobry urodzaj.

Początkowo słowa te trochę śmieszyły Aaltonena. Ale im więcej obcował ze starym gospodarzem, tym częściej zdawało mu się, że wynalazki, radio, fabryki, pędzące drogami samochody, nawet

książki wszystko to było nieistotne i mało ważne w porównaniu z wartością ziemi. Kościsty starzec, przerzucający kartki starego kalendarza, wydawał mu się pełen mądrości i wiedzy o tajemnicach ziemi, słońca i księżyca. Wówczas gasł powątpiewający uśmiech.

Aaltonen nie wiedział, skąd się biorą podziemne źródła wody, co daje początek życiu. Wydawało mu się, że stary Herman zna właśnie te niezgłębione tajemnice. Żył blisko ziemi, bliżej niż on, przybyły tu z dalekiej fabryki.

Pewnego dnia zniknął mężczyzna mieszkający w izbie za kuchnią. Wracając wieczorem z pola Aaltonen napotkał idącą naprzeciw kobietę. Szła szybko z opuszczonymi rękoma i gołą głową. Głos jej był drżący i pełen niepokoju, jak gdyby straciła swą zwykłą dumę i panowanie nad sobą.

– Czy nie widzieliście go gdzieś w pobliżu, Aaltonen? – zapytała.

Kiedy mówiono o jej mężu, nigdy nie wymieniano jego imienia. Mówiono zwykle „on” albo „ten tam”, wskazując ruchem głowy na izbę, w której mieszkał. Kobieta powróciła właśnie ze sklepu we wsi. Przez kilka godzin nie było jej w domu.

– Nie widziałem go dzisiaj wcale – odparł Aaltonen. Patrzył na kobietę poważnie i z niepokojem. Zrozumiał, że działo się coś złego. Czuł to, ale nie chciał pytać niepotrzebnie.

Z drewnutni, trzymając w ręku siekierę, wyszedł stary gospodarz. Nie pytając o nic skierował swe kroki prosto do domu. Aaltonen ruszył za nim. Kobieta z nerwowo zaciśniętymi dłońmi pozostała na podwórku.

Stary gospodarz wszedł pierwszy do domu. Izba za kuchnią stała otworem. Stalowa zasuwka z wielką siłą została wyrwana z framugi, a uszkodzona część drzwi świeciła białością surowego drzewa. W taki sam sposób został wyrwany zamek górnej szuflady w komodzie kobiety. Szuflada, wysunięta do połowy, pełna była rozrzuconych papierów, a blaszane pudełko, w którym gospodyni

trzymała pieniądze, było puste. Ostatni raz wyjmowano je przy sprzedaży cielaka.

Twarz starego wyrażała napięcie i niepokój, ale odezwał się spokojnie:

– Widocznie udało mu się schować u siebie dłuto i młotek i czekał tylko na okazję. Już wczoraj zauważyłem brak młotka, ale pomyślałem sobie, że ty go potrzebowałaś. No tak... nic już nie poradzimy.

Wszystko to mówił z nieruchomą twarzą, ale żyłasta ręka, w której trzymał siekiere, lekko drżała. Dobrze było zacisnąć palce na czymś twardym i znanym, kiedy chciało się ukryć wzburzenie. Aaltonen poczuł znowu, że serce wali mu w piersiach.

– Wróci chyba – odezwał się cicho, jak gdyby się bał, że głośną mową obudzi lichy w tym domu.

– Złego diabli nie wezmą – powiedział ostro stary i skierował się z powrotem do kuchni.

Aaltonen wrócił do roboty. Poszedł sprzątnąć nawóz w oborze. Nie patrzył w stronę stojącej na podwórku kobiety. Słyszał tylko jej głośne westchnienie, gorsze od łkania, które przynosi ulgę. Czuł, że ta stojąca w cichym podwórku kobieta stacza ze sobą walkę. Duma, żal, gniew zmagaly się z poczuciem obowiązku i kobiecą miękkością, jaka w niej jeszcze pozostała. Rozumiał dobrze, że powinno się to odbywać bez świadków. Zbyt przykra i poniżająca dla niej byłaby świadomość, że on, obcy człowiek, widzi jej klęskę i chwilową słabość. Lepiej więc było ukryć się w oborze, wśród ciepłych, ciężko oddychających krów.

Przez chwilę Aaltonen zastanawiał się, czy nie pobiec ścieżką wzdłuż skał i lasu na stację lub na pobliską szosę, którą jeździły autobusy. Ale byłby to chyba próżny trud. Za wszelką cenę chciał jej pomóc. Nie było dlań nic gorszego od widoku tej kobiety, stojącej z bezradnie opuszczonymi rękoma i pochyloną nisko głową.

Aaltonen jeszcze przez chwilę siedział po ciemku w oborze, nie zapalając światła. Potem niepewnie poszedł do izby, w której świeciła już żarówka. Skromny posiłek stał przygotowany na nie nakrytym obrusem stole. Wszystko było jak zwykle. Jedli we trójkę. Podczas wieczerzy nie padło ani jedno słowo.

Nazajutrz stary Herman naprawił w drzwiach wyrwany zamek i umocnił go kawałkiem żelaza.

Na trzeci dzień przyszedł rzeźnik ze wsi, aby znów kupić jałówkę. Przywiązano ją za rogi postronkiem do wozu. Krętą ścieżką poszła ku wsi porykując żałośnie.

Trzeba było to zrobić, aby zapłacić zamówione w sklepie ziarno na siewy. Aaltonen wiedział dobrze, że w tym domu nie bierze się niczego na kredyt.

– Nie byłoby z niej dobrej krowy, cherlawa była – mówiła kobieta patrząc smutno – niewielki byłby z niej pożytek.

Obydwoje wiedzieli jednak, że to nieprawda. Aaltonen, nic nie odpowiedziawszy, odczepił od żłobu niepotrzebny już łańcuch i wyszedł z obory.

Dni płynęły w ponurym nastroju. Zasiano wczesną pszenicę i owies. W gospodarstwie nie było siewnika. Stary gospodarz chodził po zagonach miarowym krokiem i rozrzucał ręką ziarno ze starej płachty. Nie rozmawiano prawie wcale w ciągu tych dni. Zdawało się, że cała radość i nadzieja, związana zazwyczaj z okresem siewów, zniknęła bezpowrotnie. Wszyscy troje myśleli o tym samym, ale nikt nie odzywał się ani słowem.

Pewnego dnia kobieta przybiegła na pole do Aaltonena. Było zimno, wiał silny wiatr północny marszcząc gładź jeziora. Kobieta biegła szybko polem na przelaj. Ujrawszy ją Aaltonen zatrzymał konia na środku zagona i czekał.

Coś się musiało zdarzyć – ogarnęło go złe przeczucie.

Stali naprzeciw siebie w wietrze na polu i patrzyli sobie wprost w oczy. Głowa kobiety wzniesiona była ku niemu – przybyła po pomoc, bo zabrakło jej już własnych sił. Stał przed nią nie najemny parobek, ale mężczyzna, któremu mogła zaufać, który nie pytał niepotrzebnie, którego sama obecność stała się dla niej niewidzialną podporą.

Aaltonen patrzył na kobietę i zapomniał przez chwilę o wszystkim. Stała przed nim prosto, szesane z czoła włosy odsłaniały zaróżowione wiatrem policzki. Rozpięty kołnierzyk bluzki ukazywał białe ciało poniżej opalonej już szyi. Była wysoka i postawna, a w oczach Aaltonena piękna w swym smutku i nieugiętej dumie. Zrozumiał, że kobieta wzywa go, i cała jego szlachetna męskość, pozwalająca mu zupełnie zapomnieć o sobie, odpowiedziała na ten zew, nie wymagając w zamian żadnej nagrody, nawet dobrego słowa.

– Czy nie zechcielibyście, Aaltonen, pójść do wsi z wujkiem Hermanem po mojego męża? – odezwała się wreszcie kobieta. – Zawiadomili mnie, że on tam jest. On, mój mąż – dodała cicho.

Stary Herman gotowy do drogi czekał już na podwórku. Miał na sobie odświętne ubranie, na głowie czarny kapelusz. Kiedy kobieta weszła do izby, rzekł do Aaltonena:

– Przysłali dziewczynę z wiadomością, że pili przez całą noc w stodole, w gospodarstwie Ylätało. Alfred przywiózł wódkę z miasta. Jest tam kilku flisaków i gospodarz. Zawiadomili więc, bo gospodyni chce się pozbyć tych pijaków. Mogą się awanturować, mają już dobrze w czubach. Aaltonen sprawdził, czy ma za pasem nóż, ale stary Herman, widząc to, ostrzegł go:

– Nie zabieraj ze sobą noża, w razie potrzeby wyrwiemy deskę z płotu. Ja w każdym razie biorę ze sobą to – rzekł rozpinając kapotę.

Za pazuchą tkwiła mocna, krótka, drewniana pałka. Jak gdyby blady uśmiech rozjaśnił twarz starego, kiedy mówił dalej:

– Nauczyłem się nią posługiwać jeszcze w dawnych czasach, na morzu, i chociaż nie jestem młody, nawet dwóch nie da mi rady.

Stromą ścieżką ruszyli ku wsi. Kiedy zakryło ich wzgórze, instynktownie przyśpieszyli kroku. Stary oddychał głośno, a na policzkach jego pojawił się lekki rumieniec.

Uciążliwe oczekiwanie minęło, nareszcie należało działać. Odczuł to także Aaltonen i z ulgą powitał nową sytuację, która wymagała od niego czynu. Wszystko stało się nagle proste – trzeba sprowadzić do domu mężczyznę, ponieważ życzyła sobie tego kobieta. Gotów był pokonać każdą przeszkodę, aby dopiąć tego celu.

Weszli na gościniec. Milcząc szli równym krokiem przez wieś. W oknach domów ukazywały się raz po raz zaciekawione twarze i szybko znikwały za firankami.

Wreszcie zbliżyli się do Ylätaalo. W pobliżu stało kilka bab, które rozprawiając żywo, wskazywały na stodołę. Kiedy zauważyły nadchodzących, rozbiegły się pośpiesznie.

Ze stodoły dobiegał gwar pijackich głosów. Grano tam w karty, śpiewano bełkotliwie, jak to było we zwyczaju chłopów splawiających drzewo. Stary Herman zajrzał przez niskie wrota do stodoły i powiedział głośno:

– No, Alfred, zbieraj się stąd...

Głosy umilkły. Na chwilę zapanowała cisza.

– Zbieraj się do domu, Alfred – powiedział stary raz jeszcze. Aaltonen odczuł w głosie Hermana jak gdyby chęć rozdrażnienia pijaków. Nie dziwiło go to wcale. On sam także miał ochotę walić na odlew. Chęć ta prześladowała go od wielu tygodni. Istnieją sytuacje, w których mocne uderzenie przynosi ulgę. Było mu wszystko jedno, kto oberwie, gospodarz czy któryś z flisaków.

– Kto, u diabła, tam wrzeszczy – obrzękła twarz jednego z pijących ukazała się w drzwiach stodoły. Zmierzwił włosy i

nabiegłe krwią oczy świadczyły o ilości wypitego tu alkoholu. Stary Herman cofnął się i stanął obok Aaltonena. Lepiej było zatrzymać się przed stodołą, jeśli zaszłaby konieczność stoczenia bójki.

– Chodźcie tu, chłopcy – zawołał pijany flisak. Sam zataczając się wyszedł ze stodoły i nie mogąc ustać na chwiejnych nogach, zwalił się na ziemię. Słysząc było, że gospodarz zatrzymuje pozostałych, wkrótce jednak wszyscy czterej wyszli na dwór. Aaltonena na ich widok ogarnęła ślepa wściekłość.

Stał przed nim ten mężczyzna. Był z gołą głową, bez butów, bez kapoty. Podarty rękaw koszuli zwisał bezwładnie, mankiety były czarne jak ziemia. Patrzył na przybyłych z niezdrowym błyskiem w oczach; drżały mu sine wargi i obwisłe, obrzękłe policzki. Wymiętoszony i brudny, miał na sobie resztki rzygowin i ślady zapluskwionych miejskich łóżek.

– Zbieraj się do domu, Alfred – odezwał się znowu stary Herman.

Plecy mężczyzny pochyliły się na dźwięk tych słów. Twarz zamarła w bezmyślnym wyrazie i zrobił już krok naprzód. Przez chwilę zdawało się, że zwyciężył w nim wyrobiony przez lata nawyk posłuszeństwa. Ale wówczas jeden z flisaków zbliżył się i grożąc mu pięścią przed nosem, przyparł do ściany stodoły.

– Cóż masz tak portki podszyte strachem? – zawołał. – Nie śpieszy się, nie śpieszy! Najpierw zapłać, coś winien.

– Co to za napad na moją stodołę – krzyknął gospodarz Ylätalo i zwrócił czerwoną, zapijaczoną gębę w stronę Aaltonena, którego widział po raz pierwszy.

– Alfreda chcemy zabrać do domu, wiecie przecież, jak sprawa wygląda – odezwał się flegmatycznie Herman rozpinając guziki surduta.

– Prawdziwy chłop sam sobie da radę – wmieszał się drugi z flisaków i postąpił krok w stronę przybyłych.

– Prawda, do jasnej cholery! Pewnie, że dam sobie radę, wy piekielne parobki! – wrzasnął nagle Alfred, usiłując zapanować nad pijackim bełkotem i drganiem twarzy.

– A może przysłała ich gospodyni, bo chce, żeby jej ktoś łóżko zagrzał – ryknął śmiechem flisak, który pierwszy wytoczył się ze stodoły.

Tego Aaltonenowi było dosyć. Uderzył najprzód lewą pięścią w brzuch, a potem poprawił prawą prosto w szczękę. Flisak zbladł i zatoczywszy się pod ścianę stodoły, zwałił się na ziemię.

Widząc, na co się zanosi, gospodarz Ylätalo wycofał się ostrożnie, usiłując ukryć pośpiech, i ruszył w stronę podwórka. Alfred zatrzęsł się jak w febrze. Drugi flisak wpadł do stodoły i po chwili stał w drzwiach z nożem gotowym do ciosu. Wtedy stary Herman przyszedł z pomocą. Wyciągnął zza pazuchy pałkę i z całej siły uderzył w wyciągniętą rękę, tak że nóż wypadł z niej, a pijany flisak osunął się na kolana. Aaltonen nadepnał nogą nóż i czekał spokojnie.

Alfred nagle zatrzepotał rękami i zaczął przeraźliwie krzyczeć. To strach spowodował ten dziki, przechodzący w wycie krzyk. Drżał na całym ciele, ślina ściekała mu z posiniałych ust. Wszyscy zwrócili się w jego stronę, nawet powalony flisak podniósł się z kolan, zapomniawszy o nożu i dalszej bójce.

– A temu co znowu się stało? – zdziwił się głośno.

– Zamknij pysk i do domu! – zawołał do Alfreda poczerwieniały z gniewu Herman. Wstydział się tej awantury pośrodku wsi, tego trzęsącego się jak osika, wyjącego człowieka.

Dziki, niemal zwierzęcy ryk nie ustawał jednak, zdzielił więc Alfreda przez łeb pałką, a wówczas ten, potykając się na niepewnych

nogach, upadł na ziemię jak łachman i wył teraz zawodząc, jakby walczył ze straszliwym niebezpieczeństwem.

– To cholera dopiero – odezwał się flisak, który wytrzeźwiał prawie zupełnie. Jego także denerwował ten niesamowity krzyk.

Stary Herman obrócił leżącego twarzą do góry i z całych sił trzymał za ręce.

– Wetknij mu jaką szmatę w gębę – powiedział do Aaltonena. – przynieście wiadro zimnej wody, może wtedy się zamknie.

Flisak rzucił jeszcze okiem na leżącego i pobiegł w stronę podwórka po wodę. Aaltonen wsadził w otwartą gębę brudną, walającą się w stodole szmatę. Nareszcie wrzask ucichł, ale z głębi gardła wydobywało się teraz okropne rżenie. Twarz leżącego stała się sina.

– Jeszcze się udusi – zląkł się Aaltonen.

– To nareszcie przestanie – zimno odparł Herman, usiłując wsunąć ręce leżącego pod plecy.

Od strony podwórza zbliżał się flisak z wiadrem pełnym wody. Drugi zaś, leżący do tej pory po ciosie Aaltonena, wstał teraz i wolno powłókł się do stodoły. Wrzask prawie ucichł. Przytrzymywany przez starego Hermana, leżący na ziemi Alfred był bliski omdlenia. Herman puścił wreszcie jego ręce, wyciągnął szmatę z ust, a kiedy tamten podniósł się do pozycji siedzącej, nagłym ruchem wylał całe wiadro zimnej wody wprost w jego siną i trzęsącą się gębę. Zrobiło się zupełnie cicho. Oblany zaczął rozmazywać rękami spływającą wodę, usiłując obmyć nią twarz i usta.

Tymczasem flisak, który był w stodole, wyszedł, usiadł na progu i przypatrywał się ciekawie tej scenie. W ręku trzymał napoczętą butelkę wódki. Wyciągnął ją w stronę Aaltonena i rozcierając bolącą szczękę, odezwał się z szacunkiem:

– Chodź pociągnąć, trzeba powiedzieć, że cholernie silną masz pięść.

Aaltonen opuścił głowę i nie patrzył w stronę flisaka.

Nie znaleźli czapki ani kapoty Alfreda. Buty wyciągnięto z plecaka jednego z flisaków, który ociągając się z oddaniem powiedział, że były one przegrane w karty. Potem poszli przez wieś, stary Herman i Aaltonen, prowadząc pomiędzy sobą chwiejącego się i trzęsącego pijaka. Nie rozglądali się dokoła i nic nie mówili do siebie. Na twarzy starego pojawiły się czerwone rumieńce wstydu, ale szedł równym krokiem, prostując zgarbione plecy i niosąc głowę wysoko.

Kiedy weszli na boczną ścieżkę prowadzącą do domu, pijany mężczyzna zatoczył się i usiadł, narzekając bolesnym głosem, że nie ma sił iść dalej. Wtedy Herman podniósł go za kark i zmusił do dalszego marszu. Stąpając niepewnie na chwiejnych nogach, pijany jeszcze raz przewrócił się i rozbił sobie nos. Wtedy zaczął płakać, po obrzękłych policzkach spływały łzy zmieszane z krwią z rozbitego nosa. Aaltonen z obrzydzeniem odwrócił głowę, kiedy Herman wymierzył mu kilka razy pałką. Potem mężczyzna poszedł już bez oporu.

Kiedy wrócili do domu, na podwórku nie było nikogo. Stary Herman był bardzo zmęczony. Oddychał ciężko i głośno. Nie wprowadził Alfreda do izby, tylko zostawił go przy saunie. Była już nagrzana, a na ławie leżała przygotowana czysta zmiana bielizny. Mężczyzna rozebrał się na trawie. Stary Herman ze wstrętem odrzucił jego brudne łachy. Wepchnął go potem do sauny i położywszy na desce szorował ryżową szczotką nie zwracając uwagi na jęki i biadolenia. Oblał go wreszcie strumieniem zimnej wody i kazał ubrać się w czystą odzież.

Sam usiadł na kamieniu opodał i oddychał ciężko. Aaltonen siedząc obok słyszał wyraźnie jego świszczący oddech. Wreszcie

drżący z zimna mężczyzna wyszedł już czysto przebrany z łaźni i skierował się do domu. Wtedy obydwaj ruszyli za nim.

Kobieta stawiała właśnie na stole wieczerzę. Mężczyzna usiadł niepewnie na swoim miejscu, wzdychał od czasu do czasu ciężko, dotykając stłuczonego nosa. Starał się wzbudzić dla siebie współczucie i litość. Żuł chleb, ale widać było, że nie jest w stanie nic przełknąć. Kobieta stała przy piecu i patrzyła na niego oczyma zimnymi jak dwa niebieskie kamienie. Wreszcie Alfred zrezygnował z jedzenia, wstał i poszedł do swojej izby. Kobieta odprowadziła go beznadziejnym spojrzeniem i także wyszła.

Aaltonen czuł, że się czerwieni. Bezwiednie zacisnął pięści. Jedna zabolęła go mocno, rozbił ją uderzając flisaka. Była skaleczona, miała zdartą skórę. Uderzył widać mocno, i chętnie powtórzyłby to, ale teraz nie było kogo bić.

– Cały rok był w szpitalu – odezwał się stary Herman. – Wypuścili go podobno wyleczonego. Mieli oni kiedyś w mieście piękne mieszkanie, jedwabiem kryte meble, fortepian. Czego tam nie było... Raz tam u nich byłem, ale tylko w kuchni. Ona wychodząc za mąż dostała duży posag. Kiedy przyjechali tutaj, niewiele już z tego zostało. Wystarczyło jej jeszcze na kupno tego domu. Lekarze orzekli, że życie na wsi będzie służyło Alfredowi. Ale sam widzisz, żadna wieś nie naprawi tego, co miasto zepsuło.

– Ta kobieta musi być bardzo mocna, skoro wytrzymuje to wszystko – rzekł Aaltonen. Gardło miał zaschnięte i słowa zabrzmiały chropawo.

– Kiedy tu przyjechali, nie umiała krów doić, nie wiedziała nawet, jak wyglądają widły – mówił półgłosem stary Herman. – Początkowo była tu dziewczyna do pomocy, ale jak się domyślasz, szybko odeszła. Potem już ona sama zajmowała się gospodarstwem. Twarda z niej kobieta. Sam dobrze nie wiem, co ona myśli i czuje, choć już trzeci rok mieszkamy pod jednym dachem i mówi do mnie „wujku”. Druga na jej miejscu dawno rzuciłaby to wszystko.

Zapadł zmrok. Czas już było zająć się wieczornym obrzędkiem. Aaltonen wychodząc z izby zatrzymał się jeszcze w drzwiach i chowając twarz w mroku zapytał, ważąc słowa, które trochę dziwnie zabrzmiały w ustach parobka:

– Muszą się chyba bardzo kochać?...

– Nieboszczyk Joose powiedział mi kiedyś, że nienawiść mocniej i trwalej wiąże ludzi niż miłość – odpowiedział cicho stary Herman.

Aaltonen poszedł do stajni. Wiatr ucichł. Pomiedzy chmurami błyszczały gdzieś pojedyncze gwiazdy. Zapach świeżo zoranej ziemi wypełniał powietrze cichego, wiosennego wieczoru.

4

Nastąpiło kilka ciężkich dni, w czasie których leżący w swej izbie przepity, niezdatny do niczego mężczyzna powracał do życia. Najpierw spał prawie całą dobę, po przebudzeniu nadal leżał w łóżku tocząc błyszczącym wzrokiem po izbie. Obgryzał do krwi paznokcie, chwycił się ręką za serce strasząc, że zaraz umrze, wstawał i wysiadywał w samej tylko bieliźnie na brzegu łóżka. Bał się. Bał się okien i ścian, bał się ziemi za oknem, głosów słyszalnych dla wszystkich oraz tych, które słyszał tylko on sam.

Kobieta opiekowała się nim, nosiła mu jedzenie, siadywała czasem przy jego łóżku wysłuchując prośb, usprawiedliwień i błagań. Niewzruszona, wpatrywała się w jego drgającą, obrzękłą twarz. Pod wpływem tego spojrzenia mężczyzna zaczynał się trząść. Kiedy kobieta była blisko, pod byle pretekstem podnosił się z łóżka i skradał się ku niej cicho i niepostrzeżenie.

Po kilku dniach poczuł się już lepiej, ale każda cząstka jego ciała, każdy nerw drgał zniecierpliwieniem. Grube wargi wykrzywiały zły grymas, biadolenie zmieniało się w przekleństwa. Kłął cicho, jękając się i spoglądał wokół tępym spojrzeniem idioty. Sam sobie stworzył to piekło. Piekło wiecznego niezadowolenia, złości i nienawiści. Zatruewał każdego, kto się z nim zetknął.

Kobieta często wracała z jego izby z wypiekami na wychudłych policzkach. Zamykała na klucz drzwi do siebie, stawiała za nimi wspierając je jeszcze rękoma. Chwilami i jej oczy stawały się szalone. Tam za ścianą poruszało się zwierzę, dziko dyszące zwierzę. Walkę z tą bestią musiała stoczyć sama. Nikogo nie mogła wezwać na pomoc. Nikogo.

Chodziła po kuchni z szeroko otwartymi nieprzytomnymi oczyma. Tylko ręce jej poruszały się bezbłędnie. Nosiły ciężkie konwie wody, żarcie dla świń, paszę dla krów. Pracowała bardzo dużo. W pracy szukała zapomnienia. Szukała dla swego ciała zmęczenia ponad siły. Chciała, aby stało się ono znowu nietknięte. Wiedziała, że chybaby się zabiła, gdyby raz jeszcze dała się zaskoczyć, gdyby raz jeszcze zmusiła się do uległości, która przynosiła jej hańbę.

Trawa zieleniła się na podwórku. Na polach śpiewały czarne szpaki i szukały pożywienia wśród świeżej ziemi. Jasny, spokojny błękit nieba rozpościerał się nad jej głową, nad starym domem i podwórkiem, które przemierzyła tylekroć swymi krokami. Niedługo krowy wyjdą już na pastwisko i skończy się uciążliwe karmienie bydła stojącego w oborze – myślała z ulgą.

Nie opodal na polu pracował obcy mężczyzna.

Aaltonen oczyszczał zachwaszczony i zamulony rów. Plecy jego i ramiona poruszały się rytmicznie. W tych spokojnych ruchach zachował się jak gdyby odwieczny rytm wschodzącego i zachodzącego słońca, gasnących i rodzących się dni.

Kobieta przystanęła na podwórku i patrzyła z uwagą na jego pracę. Miarowe wyrzucanie błota i chwastów z rowu działało kojąco na jej niepokój i rozdrażnienie.

Po chwili podeszła do studni i opuściła w dół wiadro. Na dnie błysnął prostokąt ciemnej, spokojnej wody. Zwierciadło czarownicy. W głębi ujrzała własną twarz na tle jasnego nieba. Zapomniała na chwilę o wszystkim, jak gdyby woda ze studni wchłonęła jej gorzkie doświadczenia, smutne wspomnienia, a nawet płaczące się jeszcze w myślach słowa, wyczytane kiedyś w książkach. Spokojny prostokąt wody ciągnął ją ku sobie. Patrzyła weń rozszerzonymi źrenicami. Niewypowiedziany spokój wypełnił jej biedną, skołataną duszę.

Kiedy podnosiła twarz znad studni i ze dziwieniem spostrzegła znajomą ziemię, podwórko, okno domu, chciało jej się krzyczeć jak zniecierpliwionemu ptakowi w głuszy leśnej, jak ściągniętemu wędzidłem koniowi. Ta krótka chwila zapomnienia już się skończyła. Znowu była tą, którą być musiała. Znowu wróciła do rzeczywistości, której koszmarem był mieszkający w izbie za kuchnią mężczyzna. Należał do niej. Przed laty sama go sobie wybrała. Teraz był brzemieniem, pod którym uginała się do ziemi. Były to kajdany, które wżerały się w ciało aż do kości. Był to wielki, nigdy nie ustający ból, był to również jej ogromny, gorzki żal.

Wróciła do izby stąpając sztywno. Poruszając się jak nieżywa poszła potem do obory. Bezmyślnymi ruchami zmieniała podściółkę krowom. Nie cierpiała z powodu swojej biedy i braków. W tym nie było nieszczęścia i wstydu. Myśli jej znów otępiały, zobojętniały na wszystko.

Długi wieczór włókł się powoli. Ukradkowe spojrzenia, rzucane w czasie kolacji przez Aaltonena i starego Hermana, sprawiały jej wstyd i ból. Nadeszła wreszcie pora spoczynku. Stary Herman zmęczonym krokiem poszedł do swej izby. Leżąc już słyszała, jak Aaltonen zgasił światło w kuchni i położył się na swym pościeliu. Wówczas wstała i przyciskając ręce do piersi, kamiennym wzrokiem patrzyła przez okno izby. Ziemia była czarna, powierzchnia jeziora lśniła w blasku księżyca, którego ostry sierp wznosił się wysoko nad skałami. W stajni stara kobyła rżała cicho i grzebała nogą w słomie. Wszystkie głosy powoli cichły, cały dom pogrążał się we śnie i odpoczynku.

Tylko ona czuwała. Stała przy oknie w zgrzebnej koszuli, samotna w swej ciemnej izbie. Wyczerpana całodzienną pracą, zaciskała ręce na zamarłych, pozbawionych tchu piersiach. Zatopiona w gorzkich myślach, zauważyła ze zdziwieniem, że ciało jej nadal było jeszcze kragłe i jędrne.

Po chwili dało się słyszeć stukanie do drzwi. Drżący głos, który kiedyś był jej drogi, szeptał coś niecierpliwie po tamtej stronie. Natrętne ręce drapały zamknięte drzwi nieustępliwie, lecz cicho, widocznie bojąc się zbudzić pozostałych domowników. Szept ten przeznaczony był tylko dla niej. To on zakłócał jej sen i zatruwał jasne dni.

Kobieta nie westchnęła, nawet nie modliła się już. Modlitwa od dawna zamarła na jej wargach. Bez wahania wyjęła klucz z szuflady komody, otworzyła zamknięte drzwi i weszła do przyległej izby. W ciemności chwyciły ją miękkie, chciwe ręce. Byli przecież sobie zaślubieni. Byli małżeństwem przed Bogiem i ludźmi – drżał w niej bezgłośny, szydrczy śmiech. Wraz z nim zgasła ostatnia iskierka uczucia.

Dawniej w takich chwilach łudziła się jeszcze. Wydobywała z tych zbliżających się do niej ust zapewnienia, obietnice i przysięgi o rozpoczęciu nowego, lepszego życia. Dziesiątki, setki razy usiłowała uwierzyć. Aby podtrzymać się na duchu, marzyła, że wszystko ułoży się jaśniej i lepiej. Ale każda obietnica okazywała się kłamstwem, po którym następował dalszy upadek, każde słowo było nowym oszustwem. I wreszcie zrozumiała, że wola tego mężczyzny jest równie miękka jak jego drżący, miękki podbródek, jak trzęsące się ciało. Ale i wtedy jeszcze łudziła się, że przynajmniej te słowa, które wraz z nierównym oddechem wpadały jej w ucho, że te słowa są przynajmniej wyrazem szczerzej chęci poprawy. Jeszcze i wówczas pragnęła uwierzyć, że jednak coś w tym było miłością, która potrafi wiele wybaczyć, która może oczyścić ciało z upadku i poniżenia. Kiedyś chciała wierzyć, że pieszczotą i miłością przychyli nieba temu tkwiącemu w świecie występku nieszczęśnikowi. Ale i to było kłamstwem. Kłamstwem, które ostatnią kroplą dopełniło miarę jej goryczy.

Każde jego słowo wypowiedane było tylko po to, aby osłabić jej niechęć i opór. Każde jego słowo dążyło z wyrachowaniem jedynie do

tego, aby stała się powolna jego przeżartemu alkoholem, nienasyconemu ciału.

Teraz wreszcie była już zimna i głucha. Dotyk tych rąk czynił martwym jej ciało. Leżała sztywna z szeroko otwartymi oczyma. Żadne westchnienie ani nawet głębszy oddech nie wydobył się z jej ust. Tego szczęścia nie chciała już dać trzęsącemu się kawałowi mięsa, który brał jej ciało. Była sama – tylko ciemność nocy okazywała jej swą litość.

Znowu słyszała przysięgi, które były kłamstwem. Słowa: już nigdy więcej – budziły w niej tylko szyderczy śmiech. Pozostała głucha na wszystko. Za cenę własnego ciała zdobyła dla tego domu kilka dni, może kilka tygodni pozornego spokoju. Mężczyzna może jeszcze czasem wierzył swym zapewnieniom, ale nie wierzył w nie nikt poza nim, choć według zaleceń lekarzy należało udawać, że się wierzy, i łudzić się z nim razem.

Chwiejnym krokiem kobieta powróciła do swej izby. Nie zamknęła już drzwi za sobą. Biedna, ogołocona nawet z szacunku do samej siebie, za cenę swego poniżenia zapewniła temu nieszczęsnemu, choremu człowiekowi spokojny sen w piekle jego życia. Ten sen będzie teraz trwał długo – wiedziała o tym. Aż znów którejs nocy wpadający przez okna blask księżycy zbudzi zwierzę, które bełkotem i drapaniem w drzwi objawi swe istnienie.

Chory nie odpowiada wszak za swe czyny, wszyscy powinni być dla niego wyrozumiali i dobrzy. Powinni poświęcać się i nieść mu pomoc. Tak głosiły odwieczne zasady wpajane przez kulturę i cywilizację. Zło, brak odpowiedzialności i woli były więc tu chorobą – tak wynikało z tego, co mówili kłamliwi lekarze. *Constitutio psychopathica, alcoholismus chronicus* – to były poważne, naukowe określenia, którym załamana kobieta dawała posłuch. Teraz wyzwoliła się z tego. Nie pomogła mu jej łagodna dobroć, nie pomogły także gniew i surowość. Na nic nie przydały się lekarstwa.

Kobieta wyszła do kuchni. Leżący na łóżku obcy poruszył się, nie słysząc było spokojnego oddechu uspiętego człowieka. Serce ścisnęło się w jej piersiach. Może ten obcy człowiek stał się świadkiem jej poniżenia, może słyszał wszystko? Ale nic już nie miało znaczenia. Nic nie było ważne, skoro jeszcze raz przełamała w sobie resztkę dumy i wypięła do końca miarę goryczy, bólu i hańby.

Wyszła teraz na dwór szukając ukojenia w ciszy ziemi, nieba i nocy. Otoczyła ją spokojnym chłodem ta wiosenna noc. Czuła zimną ziemię pod bosymi stopami. Błady sierp księżyca świecił nad skałami i czarnym jeziorem. Tu było lepiej. Ogołocona ze złudzeń, bez żadnej nadziei na przyszłość, nie posiadała niczego, co byłoby jej bliskie. Dopiero po długiej chwili gorycz i poniżenie znalazły ujście w szłochu, który boleśnie zabrzmiał w spokojnej ciszy wiosennej nocy. Wszystkie ludzkie uczucia wydały się nieważne wobec tych ciężkich, bolesnych westchnień, których świadkiem była tylko cicha noc i zimna ziemia. Tylko one otuliły kobietę swymi ramionami.

Ziemia była ogromna. Rozciągała się w nieskończoność wokół domu i obejścia. Ponad nią rozpościerało się niebo, na którym bładły już gwiazdy krótkiej wiosennej nocy. Ziemia była potężna. Rodziła ziarno i owoce, okrywała się kwiatami, wypełniała życiem kielich smutku, beznadziejności i zawodu, pęczniała bólem narodzin i radością śmierci, nie ubożając sama ani o źdźbło.

Tylko jedno pocieszało kobietę w chwilach największej rozpacz. Było coś, za co była wdzięczna losowi. Nie miała dziecka. Nie musiała bać się straszliwej myśli, że nosi w swym łonie nowe życie, któremu początek dało tamto, zniszczone alkoholem, trzęsące się ciało. Nie bała się, że będzie patrzeć, jak rośnie, dostrzegać w nim te same skłonności do kłamstwa i nałogu, to samo spojrzenie nieufne i rozbiegane.

Podniosła się nareszcie z ziemi. Rosa ziębiła jej stopy, zgrzebna koszula lodowatą wilgocią oblepiała ciało. Szloch ucichł w niej zupełnie. Czuła w sobie pustkę. Jedno wiedziała na pewno: był to

ostatni raz. Jakby podszeptała jej to wilgotna wiosenna ziemia. Wiedziała to na pewno, równie dobrze jak to, że własnymi rękami udusiłaby dziecko zrodzone z tego ojca. Wiedziała również, że los, który był jej przeznaczony, dobiegał końca.

Właściwie nie zdarzyło się nic takiego, co uzasadniałoby to nagłe postanowienie. Mężczyzna już nieraz przedtem kradł, pił, uciekał i powracał do domu, bo tylko te drzwi stały jeszcze przed nim otworem. Ostatnia kradzież pieniędzy z pudełka była tylko drobnym incydentem w długiej serii jego czynów. Gorszych jeszcze rzeczy doświadczyła już nieraz. Wielekroć ulegała mu wbrew woli, więc i to dziś nie było dla niej nowe i nie mogło wpłynąć na jej decyzję. Zapadła ona jednak w jej duszy i kobieta wiedziała, że tak będzie na pewno. Mówiła jej to ziemia, ostry sierp księżyca i wielkie niebo wiosennej nocy.

Na dobre lub na złe – pomyślała wstępując drżącymi stopami na stare, zniszczone schodki domu. Niczego dobrego nie potrafiła oczekiwać dla siebie, a najgorsze było już za nią.

Położywszy rękę na klamce drzwi wiodących do kuchni, popatrzyła jeszcze na studnię. Tam na dnie ciemnego otworu lśnił nieruchomy prostokąt wody, zwierciadło czarownicy. Patrzyła w nie już nieraz i na zawsze zachowało ono odbicie jej twarzy.

Kiedy przeszedłszy przez ciemną kuchnię i zamknąwszy za sobą drzwi weszła do swej izby, Aaltonen podniósł się bezszelestnie z posłania, podszedł do beczki z wodą i zaczerpnąwszy zardzewiałym czerpakiem, pił łapczywie. Pił długimi, dużymi haustami. Sen uciekł z jego powiek, głowa paliła go, a gardło zupełnie wyschło. Słyszał wszystko, co wydarzyło się tej nocy. Słyszał poprzez grube ściany i drzwi, słyszał, choć nie chciał słyszeć. Ciało jego, zmęczone całodzienną pracą, przez cały ten czas leżało bez ruchu na posłaniu. Teraz spragniony pił łapczywie, jak gdyby z tego zardzewiałego czerpaka spływała woda wiecznego zapomnienia. Po każdym dużym haście zimna woda rozlewała się kojąco w jego wnętrzu.

Powrócił bezszelestnie na posłanie. Kobieta śpiąca w izbie za kuchnią nigdy nie może dowiedzieć się, że nie spał tej nocy i słyszał to, czego nikt nie powinien był słyszeć. Padł na posłanie jak na dno grobu, jak w objęcia miłosiernej ziemi i zasnął czując się innym, jak gdyby obcym sobie człowiekiem.

Na swym wąskim łóżku kobieta czuwała. Leżała wyciągnawszy ręce na kołdrze. Słyszała dobrze te ostrożne, ciche kroki w kuchni. Tej nocy słyszała każdy, najmniejszy nawet szelest. Słyszała każdy krok, przez ścianę i drzwi czuła każde drgnięcie tego muskularnego, szczupłego ciała. Obcy mężczyzna pił wodę przyniesioną ze studni czarownicy. To dobrze. Leżała bez ruchu z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i oddychała wolno.

Krótką wiosenną noc przeszła w brzask, i jasność wschodzącego dnia wdarła się zimnym światłem w ciemność izby.

5

Wierzby nad strumieniem zieleniły się świeżymi listkami, po niebie płynęły srebrne obłoki, ich cienie przesuwwały się bezszelestnie po starej ziemi, ogrzanej słońcem i muskanej podmuchami wiatru. Ostrze pługu kroilo na równe skiby ciężką, tłustą, brązową ziemię. Był czas sadzenia ziemniaków. Stara kobyła, naprężając mięśnie i ścięgną pod gładką skórą, z wysiłkiem ciągnęła pług.

Mężczyzna szedł za pługiem, ciesząc oczy błyszczącym brązem ciężkiej ziemi. Była ona tutaj bardziej żyzna niż na innych zagonach zbocza. Było dobrze. Cienie obłoków głaskały ziemię, ciepły, wiosenny wiatr chłodził spocone czoło, nad głową rozpościerało się pogodne niebo, a głóg rosnący przy płocie błyszczał zielononiebieskimi listkami jak gorejący krzak w pradawnych czasach.

Radość napelniała serce Aaltonena, kiedy tak szedł za pługiem, a kobieta postępowała za nim wrzucając w ziemię ziemniaki. Szła niestudzenie, pochylając się co chwila, z rozwianymi przez wiatr jasnymi włosami i zbrukanymi ziemią rękoma. Ziemniaki trzeba było posadzić jak najszybciej.

Pracowali we dwoje. Stary Herman czuł się źle, coraz bardziej brakowało mu sił. Skóra na jego chudych, kościstych policzkach pożółkła i każdy jasny dzień ukazywał nieubłagane postępującą słabość. Oddech stawał się ostry i świszczący, stare płuca zawodziły, a Herman, który całe życie ciężko pracował, nie potrafił oszczędzać się w tym najgorętszym okresie wiosennych prac w polu. Wprawdzie ziemia ta nie należała już teraz do niego, lecz uważał, że powinna być uprawiona. Nie znał bowiem żałośniejszego widoku od zaniedbanej, odłogiem leżącej ziemi. Jednak pewnego dnia pod

wieczór przysiadł na miedzy z twarzą poszarzałą, i kiedy Aaltonen pośpiesznie się zbliżył, powiedział oddychając ciężko:

– Już pewnie nie wyjdę w pole, na tym się chyba moja robota skończy.

– Poszlibyście do lekarza – odezwał się tego dnia wieczorem Aaltonen, widząc, z jakim trudem stary podszedł do stołu podczas wieczerzy.

Herman uśmiechnął się tylko zmęczonym uśmiechem starego człowieka. Cóż mu tam po lekarzach i wszystkich miejskich mądrościach. Stare, żylaste ręce drżały wyraźnie, kiedy kroił chleb na kawałki i wkładał go do ust.

Pomimo wszystko nazajutrz zjawił się w kuchni odziany w odświętną odzież, trzymając w ręku zniszczoną, owiazaną sznurkiem walizkę. Kobieta przygotowała mu jedzenie i poszedł wolno ścieżką udając się w drogę do miasta. Aaltonen chciał go odwiedzić na przystanek autobusowy, ale stary nie pozwolił na to.

– Potrzebny ci koń do sadzenia ziemniaków – rzekł – moje nogi dużo już chodziły po świecie, to i jeszcze ten kawałek dojdą.

Kobieta i Aaltonen pracowali więc we dwoje. Mężczyzna w izbie za kuchnią zapadł teraz w stan zupełnego zubożenia. Nie chciał już pracować i nikt go do tego nie zmuszał, bo wnosił tylko z sobą na pole przygnębiający nastrój. Aaltonenowi wydawało się, że wszystko, czego dotknął ten człowiek, skazane było na zniszczenie. Ta miękka, niezdatna do żadnej pracy ręka niszczyła wszystko wokół, lepiej więc, by nie dotykała ziemi, która miała wydać plony.

Mężczyzna czasem wychodził ze swej izby i leniwie, ze spuszczoną głową przechadzał się po obejściu, unikając spojrzeń innych domowników. Łaził obgryzając paznokcie, potem wracał do siebie nie zważając czy drzwi zostawia zamknięte. Kobieta dosypywała oczyszczanej sody do jedzenia, które mu nosiła, nie chciał bowiem teraz spożywać posiłków razem ze wszystkimi. Nie chciał

widzieć nikogo, zapadł w stan głębokiej depresji. Dzięki temu w domu panował pozorny spokój.

Tego dnia, pracując w polu razem z kobietą, Aaltonen zupełnie nie myślał o nim. Nie jedli gorącej stawy w porze obiadu, bo nie miał jej kto ugotować. Kobieta zabrała w pole przygotowane uprzednio jedzenie i kiedy w południe słońce stanęło wysoko nad lasem, usiedli na skraju pola, by się posilić. Aaltonen wsypał koniowi resztkę obroku do worka, wyprzągł zwierzę i puścił je swobodnie do lasu.

Kobieta obmyła w potoku ręce i czystą dłonią podała Aaltonenowi chleb. Patrzył na te ręce podrapane i zniszczone pracą, piękne ręce, które podały mu chleb. Spojrzenie Aaltonena było szczerze i poważne, kiedy spożywał ten skromny posiłek popijając kwaśnym piwem z blaszanego kubka. Mleka nie pito teraz, cały udój wywożono do mleczarni, było to bowiem jedyne źródło dochodu o tej porze roku.

Byli razem i razem pracowali dla tej ziemi. Odpoczywali razem podczas krótkiej przerwy na posiłek. Cicha radość opanowała Aaltonena, radość, której nigdy przedtem nie doświadczył. Nie zastanawiał się nad tym, jaka jest przyczyna tej nagłej wielkiej radości, starał się nie myśleć o niczym, całą duszą przeżywał ten wielki dzień, który stał się świętem w szarzyźnie jego życia, stał się dniem prawdziwego szczęścia.

Po posiłku wyciągnął się na ziemi rozgrzanej słońcem, pokrytej suchą leśną trawą. Kobieta także położyła się i podłożywszy ręce pod głowę, zamyślona patrzyła na niebo i płynące obłoki. Twarz jej rozgrzana była wysiłkiem, jasne włosy miękko opadły na czoło, a oczy patrzyły ciepło i łagodnie, nie było w nich zwykłej surowości.

Pracując razem całe przedpołudnie nie rozmawiali wcale. Przy posiłku także nie potrzebowali słów. Ale teraz, w chwili odpoczynku, Aaltonen chciał koniecznie choć słowem zbliżyć się do czegoś pięknego i nieosiągalnego, co napełniało szczęściem jego duszę.

Nie patrząc w jej stronę zaczął mówić:

– Ciekawy jestem, jak nasz stary Herman poradził sobie w mieście. – Nigdy dotąd nie rozmawiali o niczym poza pracą. Teraz kobieta odezwała się:

– Niedługo miną dwa lata od czasu, kiedy ostatni raz byłam w mieście...

W zamyśleniu patrząc w niebo mówiła te słowa jakby do siebie:

– Kiedy byłam młodsza, zdawało mi się, że nigdy nie umiałabym żyć na wsi. – Przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała ruchem tym zmyć wszystko, co stało się już nieodwracalną przeszłością. – Teraz bruki miejskie byłyby chyba dla mnie zbyt twarde, światła raziłyby mnie w oczy. Miasto jest złe, pełne obłudy, czyni człowieka pustym i niespokojnym, czyni go kłamliwym i obłudnym.

Umilkła i dalej patrzyła w niebo. Wtedy Aaltonen powiedział nieśmiało:

– Fabryka też jest zła. Przez osiem godzin człowiek pracuje ciężko, a wychodząc ma wrażenie, że niczego nie dokonał.

Milczeli przez chwilę. Ciepła ziemia osuszona wiatrem, który gonił po niebie obłoki, pachniała świeżo. Ciężki jej zapach unosił się znad pól i docierał aż tutaj, na skraj lasu.

Po chwili kobieta odezwała się znowu:

– Ojciec mnie wychowywał. Posyłał do szkół, choć sam nie był człowiekiem wykształconym. Z zawodu był piekarzem i własną pracą wzbogacił się w mieście. Kazał mi często zapraszać do domu szkolne koleżanki i kolegów. Wszystkim smakowały jego ciastka, ale za plecami przedrzeźniali go i śmiali się z niego, Czasem wstyd mi było za ojca. Dlatego chciałam być wykształcona, czytałam dużo i wierzyłam książkom. Byłam bardzo dumna, bo ojciec był zamożny, miał nawet własny samochód. Jakże byłam lekkomyślna, pusta i próżna.

Stroiłam się za ojca pieniądze, zapraszałam gości, urządzałam przyjęcia. Och...

Znowu przesunęła ręką po twarzy.

Aaltonen patrzył na nią. Patrzył na jej ręce obnażone do łokci, na jej silne ciało odziane w zniszczone robocze ubranie, na jej nogi w twarde, ubrudzonych ziemią chodakach, na nagie łydki z widocznymi pod cienką skórą niebieskimi żyłkami.

Nagle zapytała:

– Jak długo byliście w fabryce, Aaltonen?...

Mężczyzna drgnął i ciemny rumieniec okrył jego opalone policzki, ale patrzył spokojnie w zamyślane, niebieskie oczy kobiety i powiedział cicho:

– Osiem lat...

Potem odwrócił wzrok i mówił dalej trochę niepewnym głosem:

– Nie nazywam się Aaltonen, chociaż tak powiedziałem...

Słońce wyjrzało zza chmury, i kobieta poruszywszy się przesłoniła oczy ręką przed jego ostrym blaskiem. Mężczyzna mówił cicho:

– Skłamałem, że nie jestem żonaty. Tam, we wschodniej Finlandii mam żonę i prawie siedmioletnie dziecko.

Głos jego był spokojny i równy, tylko mówiąc to zacisnął mocno duże, zgrubiałe od pracy dłonie i patrzył przed siebie daleko na pola.

Kobieta przesłoniwszy oczy ręką odezwała się tak, jak gdyby nie słyszała tego, co mówił:

– Mój mąż pochodzi podobno z dobrej rodziny. Był na ty z właścicielami dużych, eleganckich restauracji, zapraszał mnie tam często i gościł wykwintnymi smakołykami. Mówił wiele o interesach. Za pieniądze mego ojca urządzono nam piękne mieszkanie.

Wydawało się, że jest we mnie zakochany, a nie znałam go przecież dobrze. Jego krewni, dzięki którym utrzymywał się wtedy na powierzchni, byli oczywiście bardzo zadowoleni. Nikt słowem nie wspomniał, że już miał za sobą leczenie w szpitalu. Taką rzecz trzeba było przecież ukryć. A ja byłam tylko próżną i głupią dziewczyną. Śmieszyły mnie nawet jego dowcipy i kawały robione po pijanemu. Sama w tamtych czasach dotrzymywałam mu towarzystwa w picciu. Och...

Kobieta podniosła się nagle i zaczęła sprzątać leżące na trawie naczynia. Aaltonen wstał także i oparłszy się o pień sosny, patrzył na proste plecy kobiety, piękne nogi zarysowane pod roboczą spódnicą, na zręczne jej ruchy. Przepeliła go ciepła tkliwość, kiedy wyobraził sobie, jak pięknie wyglądałaby ta kobieta straciwszy swą sztywną surowość, gdyby uśmiechając się szła przez pole z dzieckiem w ramionach. Była to silna kobieta, której ręce nie bały się pracy, której stopy pewnie i niestrudzenie stąpały po zagonie.

Oparty o drzewo Aaltonen powiedział:

– Przez całe życie nie miałem grosza więcej, jak tylko to, co zarobiłem własnymi rękami. Ale tam, niedaleko fabryki, gdzie mieszkałem, dorobiłem się już własnego domku, zaciągając na jego budowę pożyczkę. Miałem także ogród, który sam wykarczowałem. Wieczorami po pracy uprawiałem go, podlewałem. W niewielkiej szopie trzymałem narzędzia ogrodnicze. Lubiłem pracować w ogrodzie.

Przerwał i zagwizdał na konia. Stara, posiwiata kobyła przedzierając się przez zarośla szła wolno ku nim, strzyżąc uszami i wachając ziemię. Aaltonen poklepał ją dobrotliwie po szyi i mówił odwrócony plecami do zbierającej naczynia kobiety:

– Któregoś wieczora ostatniej jesieni zdjąłem czapkę z kołka i wyszedłem nie pytając o nic. Nie mogłem już dłużej wytrzymać, zostawiłem wszystko. Nie żegnając się nawet wyszedłem.

Założył koniowi uprząż i podprowadził do pługa na zagonie. Kobieta napełniła koszyk pokrojonymi do sadzenia ziemniakami i poszła za nim.

Przez całe popołudnie chodzili znowu równym krokiem: Aaltonen za pługiem, a kobieta za nim, wrzucając ziemniaki w redliny, a kiedy Aaltonen je zaorywał, prostowała zgarbione plecy.

Zagon był długi. Skończyli robotę, gdy niebo poróżwiało na zachodzie, a ich sylwetki kładły się na polu długim cieniem. Zapadał wieczór. Milcząc wracali z pola do domu, kobieta szła pierwsza z koszykiem i pustym workiem po ziemniakach, mężczyzna za nią ciężko stąpając i poklepując białą kobyłę.

Następnego dnia pod wieczór stary Herman wrócił z miasta. Wolnym krokiem zmęczonego człowieka zbliżał się do domu stromą ścieżką, trzymając w ręku zniszczoną, przewiazaną sznurkiem walizkę. Twarz jego była szarozółta. Pozdrowił siedzących w izbie i od razu poszedł do siebie na odpoczynek.

Kiedy Aaltonen wieczorem wszedł do kuchni, Herman siedział na swoim zwykłym miejscu na ławie pod oknem i podał mu wianuszek obwarzanków.

– Przywiozłem ci gościniec z miasta – rzekł, a na zniszczonej, chorej twarzy pojawił się uśmiech.

Aaltonen wzruszony podziękował. Od wielu już lat nie dostał od nikogo nawet najmniejszego upominku, a że stary Herman bardzo zważał na to, by nie wydawać na próżno pieniędzy, upominek od niego był jeszcze cenniejszy. Aaltonen, trzymając niezdarnie w ręku obwarzanki, zapytał:

– Powiedźcie teraz, co lekarz powiedział?

– Lekarz jak to lekarz – odparł stary. – Kazał się rozebrać, opukał, osłuchał, raz kazał wstrzymać oddech, raz oddychać głęboko. Potem powiedział, że to choroba dróg oddechowych, astma.

Sam to dobrze wiem bez doktorskich mądrości. Serce bije słabo, powiedział do mnie. No pewno, odpowiedziałem, bije już prawie siedemdziesiąt lat, to się i zmęczyło. Bywa przecież, że nawet wcześniej ustanie. Spluńcie tutaj, powiedział doktor i podał mi niewielkie naczynie. Nie chciałem mu odmówić, naplułem z całej siły, niech będzie zadowolony. Popatrzył, pomyślał i zaczął namawiać mnie do szpitala. Pytał, czy mam na to pieniądze. Tam w mieście budują drogie szpitale, to muszą namawiać ludzi na leczenie, żeby mieć z kogo ściągać. Więc mu odpowiedziałem, że co to, to nie, tam będę umierał, gdzie żyłem. A potem wypisał mi lekarstwa. Drogie leki. Kiedy usłyszałem, ile kosztują, nie chciałem ich wcale wykupić, ale pomyślałem sobie wreszcie, niech będą zadowoleni.

Wydawało się, że stary Herman, kiedy znowu znalazł się wśród swoich w domu, wyzwolił się z przytłaczającego napięcia, które towarzyszyło mu w obcym mieście. Odprężony rozgadał się teraz, zapominając o zwykłej małomówności.

Aaltonen siedział na ławie trzymając ciągle w ręku obwarzanki. Opanowało go uczucie błęgiego spokoju.

– Czy łatwo wam było znaleźć lekarza? – zapytał starego.

– Najpierw prosto ze stacji poszedłem do krewnych dowiedzieć się o nocleg. Od nich też dostałem adres doktora. Rozpytując po drodze znalazłem wreszcie dom lekarza, zadzwoniłem do drzwi, otworzyła mi pielęgniarka i kazała poczekać dwie godziny. Sporo miałem czasu, więc przysiadłem na schodach i zabrałem się do jedzenia. Zaczęli i inni przychodzić, ona ich wpuściła, a potem i mnie powiedziała, że mogę wejść i poczekać w środku. Głodny byłem, więc w tej poczekalni dokończyłem jedzenia. No cóż, to wszystko...

– A jakie lekarstwa wam przepisał? – zapytał znowu Aaltonen.

– Bardzo były drogie, ale mocne. Cała izba zakręciła mi się we łbie, jak sobie nalałem do kubka od kawy, żeby spróbować. Aż mi dech zaparło, kiedy sobie łyknąłem – mówiąc to stary Herman chytrze uśmiechnął się pod wąsem.

– Może za dużo zażyliście? – zauważył Aaltonen.

– Kazali łyżkę, ale sobie pomyślałem, że trzeba zobaczyć, jakie to mocne. Bardzo dobre lekarstwo przepisał, bardzo dobre... aż nogi zrobiły mi się miękkie w kolanach.

Izba wydawała się Aaltonenowi jak nowa, zapanowały w niej błogie ciepło i spokój. Nie potrzeba było jeszcze zapalać światła. Było dość jasno. Zbliżała się pora białych nocy. Szary, panujący w izbie zmrok zbliżył tych troje. Zobojętniały na wszystko mężczyzna z izby za kuchnią nie przeszkadzał już nikomu, obecność jego tkwiła jednak jak cierń w podświadomości domowników.

Silne lekarstwo wzmocniło słabe ciało i stary Herman zaczął z ożywieniem wspominać dawne czasy. Może zdawał sobie sprawę, że niewiele mu zostało życia, wrócił więc chętnie myślą do czasów swej młodości.

– Uwierzysz mi albo nie – mówił ożywionym głosem, rozglądając się wokoło – kiedy byłem młodym chłopakiem, latałem na tańce do najdalszej wsi. Byłem dobrym tancerzem i nogi mi same skakały. Raz nawet kupiłem sobie kalosze, czarne świecące kalosze, bo wydawało mi się, że będę w nich bardziej wyelegantowany niż inni. Niosłem je pod pachą idąc na przelaj przez bagniste łąki bo się bałem, że się zniszczą. Na nogi wkładałem je dopiero przed samym wejściem. Dziwili się wszyscy, skąd mam takie kalosze.

Aaltonen uśmiechnął się. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy ostatni raz tak radosny i beztroski uśmiech pojawił się na jego ustach. Równocześnie jednak odczuł smutek, który po ostatnich słowach starego wdarł się do izby. Powiało melancholią i żalem, że młodość kończy się i nie powraca nigdy.

– Cóż tam, było i przeszło – mówił dalej stary gospodarz słabnącym głosem. – Swoje przetańczyłem w młodości i wiem, że teraz wszystkie hulanki są już poza mną. Nie chciałbym tylko długo chorować i być ciężarem dla innych. Ziemi się nie boję, a według tej nowej mody nie ma podobno piekła ani nieba, jak to kiedyś matka uczyła. Nie byłem już dawno w kościele, ale pójdę. Tego chleba i wina nie udało się jednak na nic innego zmienić, a przyrzekłem nieboszczce matce, że jak będę czuł, że dni moje dobiegają końca, przystąpię do stołu pańskiego.

– Nie mówcie jeszcze o śmierci gospodarzu – odezwał się Aaltonen, choć czuł, że głos jego zabrzmiał nieszczerze.

Dlaczego jednak człowiek nie miałby mówić o śmierci, skoro przynosi mu to ulgę? Byli w izbie tylko we troje i nie potrzebowali udawać przed sobą. Udawanie należało do ludzi, którzy żyli według narzuconych sobie form i obyczajów. Dla tych trojga konwenanse panujące na świecie straciły wszelkie znaczenie.

Siedząc w zapadającym zmroku z obwarzankiem w ręku Aaltonen pomyślał o własnej śmierci. Sam, z własnej woli odciął się od całej swojej przeszłości. Tego pamiętnego jesiennego wieczoru, kiedy kominy fabryczne ponurymi cieniami wznosiły się w niebo, nacisnął czapkę na uszy i poszedł w świat. Nie myślał o powrocie. Wszystko nieodwracalnie minęło. Było to prawdą, że nie mógł tam dłużej wytrzymać. Kiedy teraz przypomniał sobie o śmierci, czuł, że gdy nadejdzie, będzie zupełnie sam. Od małego chłopca był samodzielny, śmiały i odważny, drażniło to jego otoczenie. Trudno mu było znaleźć prawdziwą przyjaźń, która byłaby czymś więcej niż przemijającą sympatią.

Jego silne ciało, mocne mięśnie, zdrowe serce i płuca rokowały mu długie życie i być może długie zmaganie się ze śmiercią. Tygodnie, miesiące, lata upłyną jeszcze, wiele przeżyć zatrze się w pamięci. Prawdopodobnie przebędzie tę długą drogę sam. Siedząc na

ławie w izbie zdał sobie sprawę, że nie pragnie niczego ponad to, co teraz odczuwał.

Drgnął nagle, bo zrozumiał, że teraz właśnie przepełnia go wielkie i jasne szczęście, którego nigdy nie zaznał. Teraz, kiedy kobieta w zmroku krzątała się koło komina, zwracając ku niemu od czasu do czasu jasną twarz i błękitne oczy, teraz, kiedy stary człowiek siedział na ławie pod oknem i oparłszy ręce na kolanach, spokojnym głosem mówił o śmierci i chlebie pańskim.

Tak niewiele trzeba człowiekowi, aby był szczęśliwy: przytulnej izby, krzątającej się kobiety, przyjaznego wzroku starego człowieka, wkraczającego w zmierzch swoich dni. Tak niewiele wystarczyło, aby ogarnęło go uczucie szczęścia tego wieczora.

Bezszelestnie zaczął poruszać wargami w modlitwie, prosząc, by los nie odebrał mu tego. Dobrze wiedział, że szczęście zawsze niesie z sobą cień strachu o przyszłość. Zbyt drogo musiał płacić w swym życiu za każdą pogodną chwilę, a za szczęście, które odczuwał teraz, gotów był zapłacić każdą cenę.

Chylił pokornie głowę modląc się pobladłymi wargami, żeby mu ono – jak wszystko dotąd, o czym marzył i czego pragnął – nie zostało znów odebrane.

6

Tymczasem wiosna przeszła w ciepłe, wspaniałe lato. Zboża zieleniły się na polach, odgłosy krowich dzwonek niosły się daleko nad lasem i łąkami. Pustą w tym okresie oborę jasno wybielono; izba kuchenna, w której sypiał Aaltonen, stała się gorąca i duszna, przeniósł się więc do spichlerza zabierając walizkę z całym swoim dobytkiem. Wieczorami, po całodzienniej pracy, siadywał na progu spichlerza i spoglądał na położoną w dole wieś i wielkie, rozpościerające się nad nim niebo. Potem szedł na spoczynek i zasypiał szybko na słomie szeleszczącej pod pachnącym czystością zgrzebnym prześcieradłem.

Stary Herman rozchorował się na dobre, nie żalił się jednak przed nikim, nie narzekał. Zadyszka przerywała mu każdą, choćby najlżejszą pracę. Zbrzydł sam sobie. Ze wstydem i strachem zauważył, że własne ciało stało się mu obce i niemiłe. Całe życie było ono posłusznym sługą jego woli, a teraz nie chciało nosić konwi z wodą, nie pozwalało nawet schylić się po drzewo, przy chodzeniu zmuszało do częstego zatrzymywania się dla zaczerpnięcia powietrza.

Stwierdzenie tego wszystkiego wywoływało w nim czasem jeszcze bezsilny gniew, a stara twarz okrywała się krwistymi wypiekami. Ale że na nic zdałby się wszelki sprzeciw, stary uspokoił się i podporządkował losowi. Siadywał teraz na skraju pola gładząc starą dłonią trawę i zioła. Śledził uważnym wzrokiem pracę Aaltonena, pogadując z nim od czasu do czasu. Czuł potrzebę obecności drugiego człowieka, mocnego mężczyzny. Dodawało mu to sił.

Czasem siadywał na progu domu i ukryty w cieniu sieni smutno patrzył na światło jasnego dnia, dłubiąc kozikiem w drzewie. Wyblakłymi oczyma uważnie przyglądał się Aaltonenowi, który pracował opodal rozebrany do pasa. Silne mięśnie wyraźnie rysowały się pod jego gładką, brązową od słońca skórą, plecy zgrabnie zwięzały się w pasie. Aaltonen był mocnym, w pełni sił mężczyzną, w którym kwitło życie. Sam o tym nie wiedząc, stary człowiek po kryjomu zdawał się spojrzaniem spijać życie tryskające z młodego mężczyzny, życie, które w nim samym bezpowrotnie dobiegało końca.

W takich chwilach oddech starego uspokajał się, blade spojrzenie nabierało blasku, nogi stawały się lżejsze, jak gdyby tężyzna młodego w niewidzialny sposób zasilala stare ciało.

Wieczorem, w czasie udoju, Herman chętnie zbliżał się do ciepłych krów. Głaskał ich grzbiety i spoglądał na dojącą mleko kobietę. Instykt silniejszy od świadomości kazał mu trzymać się blisko wszystkiego co żywe, ciepłe i mocne. Gdyby żył w innych warunkach, gdyby był bogatym gospodarzem dużego kawałka ziemi, może wziąłby sobie jaką młodą i zdrową kobietę, aby śpiąc koło niego rozgrzewała stygnące nocą ciało; może żyłby wówczas – ku zdziwieniu wszystkich – jeszcze długo, a że był zawsze blisko natury, podobna myśl nie wywoływała w nim zgorzenia ani nie uważał jej za niewłaściwą. Nie chciał jednak teraz długiego życia, pragnął tylko gorąco przeżyć jeszcze to piękne lato i doczekać wspaniałej pory żniw.

Kiedy czasem rozmyślał o śmierci, nie wydawała mu się straszna, a ziemia, która miała przyjąć jego ciało, była ziemią umiłowaną. Ślady goryczy wzbudzała w nim raczej myśl o przebytych życiu; o jego smutkach, zawodach i ciężkich doświadczeniach. Nie, śmierć nie będzie dla niego złym gościem.

Aaltonen także przyglądał się niepostrzeżenie staremu podczas tego pięknego lata, kiedy noce były jasne, kiedy w dzień ptaki

śpiewały wysoko pod błękitnym, słonecznym niebem. Dostrzegł, że wysoka postać starego stawała się coraz chudsza i bardziej zgarbiona. Ubranie wisiało na nim, nos wydłużył się, skóra na kościstej twarzy pożółkła, a siwe wąsy opadły bezwładnie nad wąskimi, bladymi wargami.

W całej postaci starego wyczuwało się obecność śmierci. Nie przynosiła ona strachu, lecz spokój, ale pomimo to stare jego ciało nie chciało się jej poddać. Ze zdwojoną siłą czepiało się życia tu na ziemi, pod wysokim sklepieniem niebios.

Wydawało się, że jego duża, koścista, stwardniała od pracy dłoń w każdej niemal chwili sięga chciwie po życie, zarówno gdy pochylony nad brzegiem rowu wycierał o trawę pobrudzone gliną chodaki, jak i wówczas, gdy wieczorem sięgał przez plecy krzątającej się przy kominie kobiety po wiszący na drzwiczkach pieca pogrzebacz.

Patrzyli często na siebie spokojnie i poważnie, kobieta i ten starzec, a śmierć stawała między nimi, biorąc w posiadanie zmęczone, stare ciało Hermana.

Ostoją im był ten obcy mężczyzna, a zarazem coraz bliższy. Kobieta patrzyła na niego poważnie i spokojnie. W jego obecności czuła się bezpieczna. Przyjemnie było patrzeć, jak ostrożnie, a jednak pewnie jego duże dłonie dotykały różnych przedmiotów. Ruchowi jego rąk łagodnie poddawał się trzonek siekiery; kobyła, chociaż strzygła uszami, kiedy zdejmował jej stare podkopy, bez sprzeciwu kładła kopyto na jego kolanie do podkucia. Skąd ta spokojna pewność w ruchach tego mężczyzny? Skąd umiejętność czynienia tak wielu rzeczy?

Kobieta starała się wyobrazić go sobie w mieście, wśród szarych, jednakowych postaci robotników na budowach i w fabrykach. Wśród tłumu, który po skończonej pracy wypełniał tramwaje i ulice.

Wyobrażała sobie tego mężczyznę obsługującego skomplikowaną maszynę w wielkiej hali fabrycznej, do której przez zakurzone okna nieśmiało wdzierały się promienie słońca. Wyobrażała go sobie w chwili, kiedy gwizd syreny fabrycznej oznajmił koniec dnia roboczego, kiedy zakończywszy pracę wychodził z fabryki i włączał się w smutny nurt setek zmęczonych ludzi idących bezbarwną drogą, po której obydwu stronach stały małe, podobne do siebie domki, okolone mizernymi ogródkami.

Kto wie, może mężczyzna czułby się dobrze w tamtych warunkach, może równie bezbłędnie i spokojnie obsługiwałby maszynę, a po skończonej pracy szedł do domu z malowanymi drewnianymi drzwiami, za którymi czekałby do następnego ranka na dźwięk fabrycznej syreny?

W tych rozmyślaniach kobieta wyczuła jednak na pewno, że tam w mieście, w fabryce, mężczyzna byłby nikim, nie przedstawiałby większej wartości dla siebie ani dla innych. Byłby tylko jednym z długiego szeregu podobnych mu postaci o tych samych, co oni, pragnieniach: posiadania pracy, mieszkania, chleba.

Tam jego życie byłoby powolnym umieraniem. Tutaj był wolnym, potrzebnym człowiekiem, bez jego pracy ziemia leżałaby odłogiem, nie byłoby zboża, mleko kwaśniałoby w garnkach. Tutaj był najważniejszy, nikt nie mógł się z nim równać, nikt nie znaczył tyle, co on. Kiedy odszedł stamtąd, pustka po nim zniknęła w ciągu jednego dnia. Gdyby odszedł stąd, nikogo nie byłoby na jego miejsce.

Kobieta zacisnęła mocno dłonie i zadrżała. Myśl, że ten mężczyzna mógłby stąd odejść i zniknąć bezpowrotnie z jej życia, budziła w niej strach. Nagle zdała sobie sprawę z tego, co od pewnego czasu przepełniało ją tkliwym uczuciem i radością. Gdyby pewnego dnia, zdjąwszy czapkę z kołka, mężczyzna zabrał ze

spichrza swoje rzeczy i odszedł pozostałaby po nim straszna, niczym nie zastąpiona pustka.

A przecież był to tylko najemny robotnik chodzący w zniszczonych chodakach, który często jadł nożem i nie zawsze używał chusteczki do nosa, którego brudne, przepocone po ciężkiej pracy koszule prała każdego poniedziałku u brzegu potoku.

Ona pochodziła z miasta, bywała na przyjęciach, z obnażonymi ramionami zasiadała pod kryształowymi żyrandolami, przy elegancko zastawionych stołach. Czytała książki, zdawała egzaminy, uczyła się wielu rzeczy, które w ciszy bibliotek wydawały się jej niezwykle ważne.

Oddała potem siebie słabemu człowiekowi, który uczynił ją martwą. Wyobrażała sobie, że jest szczęśliwa, choć ciało jej pozostało puste jak nigdy nie wypełniony kielich. Chodziła ulicami, spoglądała na rysujące się wysoko dachy miejskich domów, patrzyła na światła samochodów i reklam i wydawało się jej, że są piękne, że tętnią życiem, bo tak jej powiedziano, tego ją nauczono.

Zrozumiała, że wszystko było niczym. Zrozumiała, jak straszliwa pustka ogarnęłaby jej życie, gdyby odszedł ten poważny, pracujący z obnażonymi plecami mężczyzna, który w chwilach wieczornego odpoczynku spokojnym, kojącym wzrokiem patrzył w jej oczy.

Nie miało już żadnego znaczenia, co myśleli i uważali inni, tam, w wielkim mieście, gdzie ludzie są słabi, gdzie każde słowo i gest są kłamstwem, gdzie błyskotliwy frazes ceni się wyżej niż zdrowe, mocne ciało, niż dobre ludzkie ręce.

Teraz znaczenie miało tylko to, co sama uznawała, co tkwiło głęboko w jej podświadomości. Znaczyło to więcej niż zmarnowane lata, niż występki i wstyd. Myślała o tym wszystkim myjąc po dojeniu krów ręce w zimnej wodzie strumienia. Dzwonki pasącego się bydła niosły się daleko w ciszę lasu ponad wzgórzem i polami.

Był piękny poranek i po raz pierwszy na twarz kobiety wypłynął uśmiech nieśmiały jak wiosenny kwiat, uśmiech, którego już nie oczekiwała. Zjawił się niespodziewanie. Czuła, że ogarnął ją cała. Silne jej ramiona ożyły, ciało rozkwitło i odprężyło się pod zniszczoną roboczą sukienką. W ten piękny letni poranek rozpromieniła się jej twarz, choć oczy zaszły łzami. Całą jej postać rozświetliły jasne promienie lata po długiej zimie trudnego życia. Od lat hańbiona i maltretowana, poczuła się odrodzona. Nerwowa, chorobliwa wyniosłość, twarda duma, gorycz i żal spłynęły z niej w chłodną, bystrą wodę potoku, w którym obmywała dłonie. Zimne, harde oczy, które płakały przed laty ze straszniejszego niż śmierć zawodu – teraz znowu przesłoniły się łzami.

Osuszyła ręce fartuchem i zdziwiona, z rumieńcem wstydu na twarzy przetarła rękawem powieki. Poczuła na dłoni ciepłe, kojące łzy. Znowu przetarła oczy i rozejrzała się uważnie wokoło, czy aby nikt jej nie widzi. Wolałaby raczej obnażyć ciało w obecności obcych ludzi, aniżeli pozwolić na to, aby ktokolwiek widział jej płacz lub uśmiech.

Jeszcze przez dłuższą chwilę nie wracała do zagrody. Kręciła się w pobliżu sauny krusząc w dłoni iglastą gałązkę sosny. Potem nie śpiesząc się przystanąła przy chlewie i patrzyła, jak dwie głodne świny chrząkając wtykają ryjki do pustego koryta i niespokojnie ryją wokół ziemię.

Spoglądały na nią obie małymi oczkami w obwódce białych rzes, kręciły się żywo, kwiczały niecierpliwie, trącąc koryto otwartymi ryjkami. Oparta o ścianę chlewu wciąż uśmiechała się zagadkowo i patrzyła na głodne stworzenia z uczuciem zadowolenia i radości. Wreszcie skierowała swe kroki do kuchni, w której było o tej porze pusto, i zabrała się do przygotowywania żarcia dla świń. W dużym saganie utłukła wystygłe już dawno ziemniaki. Przygotowała ich sporo, choć po zimie niewiele ich zostało w kopcu. Ciężki sagan

zanosła do chlewa i odsuwając kolanem siorpiące ryjki świń, wysypała zawartość do koryta.

– No, macie, to dla was – powiedziała.

Nie patrzyła już potem, jak zgłodniałe rzuciły się łapczywie na jedzenie; postawiwszy sagan pod chlewem wspięła się po drabinie na stryszek, by sprawdzić, czy kury nie złożyły tam jajek. Chodziły teraz swobodnie po podwórku i często znosiły jajka w ukrytych gniazdach.

Na górze niewiele pozostało słomy. Poranne słońce przedzierało się przez szpary między belkami, ciepłymi promieniami padało na słomę i rozświetlało panujący tu mrok. Kur jednak nie było. Uklękła na słomie i opierając się piersią o ścianę, długo patrzyła przez szpary na podwórko, na dom i pokrzywioną ze starości jabłonkę, której gałązki pokryły się teraz różowym kwieciem.

Mężczyzna którego zwali Aaltonen, choć nie było to jego prawdziwe imię, wyszedł właśnie ze stodoły na podwórko, niosąc uprząż na nagich, opalonych ramionach. Szedł wyprostowany, spokojnym krokiem prawdziwego gospodarza. Najemny robotnik, który przyszedł tutaj z dalekiej fabryki, który gdzieś daleko w świecie miał żonę i dziecko. Być może uważano go tam teraz za wyrzutka. Ukryta na poddaszu kobieta patrzyła przez szpary na zalane słońcem podwórko. Patrzyła na Aaltonena. Oparła się mocniej o belkę, na twarz jej wystąpił silny rumieniec. Teraz mogła być sobą, nikt jej przecież nie widział. W półmroku uśmiechała się do siebie, czując w całym ciele nieznaną, rozkoszną miękkość i słabość, która po tylu latach zaciętej dumy i martwoty ogarniała ją błogim uczuciem. Dopiero po upływie długiej chwili powróciła do izby i zabrała się do zamiatania miotłą z liściastych gałęzi.

Mężczyzna z izby za kuchnią – jej mąż, Alfred – stanął w drzwiach kuchni zaspany, z potarganymi włosami, jedną ręką zaciskał opadające kalesony, a drugą trzymał przy ustach obgryzając paznokcie. Płaczliwym, uniżonym głosem poprosił o kawę. Kobieta nie przerwała zamiatania, nie odwróciła nawet w jego

stronę głowy. Mężczyzna niepewnym krokiem zbliżył się do komina i nalał do kubka wystygłą już kawę. Pijąc przypatrywał się tępo zamiatającej izbę kobiecie. Po chwili broda zaczęła mu drżeć, mocniej ścisnął ręką opadające gacie i zbliżywszy się do kobiety, próbował położyć dłoń na jej ramieniu.

– Nie dotykaj mnie – odezwała się niskim, stanowczym głosem i wyprostowawszy plecy odwróciła się w jego stronę. Stał jak skamieniały, nigdy dotąd nie słyszał takiego jej głosu. Na jego obrzękłej, nalanej twarzy pojawił się wyraz ogromnego zaskoczenia. Patrzył ze zdumieniem na kobietę szarymi, rozbieganymi oczyma. Potem odwrócił się i poszedł do swej izby.

– Do diabła z takim życiem – kłął półgłosem – do diabła, do diabła! – powtarzał, i w miarę tych słów rosła w nim cicha satysfakcja.

Ostatnio nikt się nim nie interesował i nikt się do niego nie wtrącał. A on wolałby, aby mu rozkazywano, aby mu choćby wymyślano. Ale teraz nie miał okazji do tej radości. To dało powód do uzalenia się nad sobą. Rozpamiętywał więc swoje zmarnowane życie, dotkliwie odczuwany brak zrozumienia. Został sam, nieszczęśliwy i chory, nikogo to nie obchodziło, rozmyślał, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Na noc zamykano go w izbie jak zwierzę, do wsi nie pozwalano chodzić. Nudziły go już przechadzki po lesie i rzucanie kamieniami do ptaków i wiewiórek. Nie mógł nawet dla zabawy drażnić świń, od kiedy stary Herman, zauważywszy to, zdzielił go mocno kijem. Zawsze był wrażliwy, robiło mu się słabo na widok krwi, a kiedyś nawet zemdłał przy zastrzyku.

Mijały lata, i nikt nie stworzył mu warunków do jakiegokolwiek działania. Nie mógł przecież zadowolić się gospodarowaniem na tak mizernym kawałku ziemi. Ziemi było zbyt mało, aby warto się było nią zajmować. Co innego, gdyby posiadał duży folwark, kilkaset hektarów gruntu i duży kapitał na rozwinięcie gospodarki. Leniwie zaczął rozmyślać nad tym, co uczyniłby będąc wielkim panem, ale

szybko znudziło mu się i to. Rzuciwszy się bezwładnie na posłanie, bezmyślnie przyglądał się porozwieszanym nad łóżkiem wulgarnym fotografiom kobiet. Wyobraźnia jego zaczęła pracować, widział siebie w otoczeniu kobiet, posiadającego pieniądze i przyjemnie zamroczonego alkoholem.

Ślina spływała mu z kącików ust i ciekła po brodzie. Nie zauważał tego. To żona zniszczyła mu tak obiecująco rozpoczynające się życie. Dumna, zimna, nie kochająca go kobieta, która szyderczymi słowami zatruwała mu najlepsze chwile, która rzucała mu kłody pod stopy, która śledziła każdy jego krok. Powinien był mieć inną żonę. Kobietę wspierającą go w chwilach słabości, podziwiająca go i darzącą gorącym uczuciem. Taka potrafiłaby zachęcić go do działania, pokrzepić w niepowodzeniach i podźwignąć ze stanu zubożenia.

W swych marzeniach śnił często, że wykręcając ręce swej żonie bierze ją przemocą. Marzenia te wynagradzały mu rzeczywistość, wyobrażał sobie to, czego nie potrafił dokonać na jawie. Był przecież tchórzem, bał się najmniejszego bólu, bał się silniejszej od siebie kobiety. Leżąc w brudnym łóżku dawał się ponieść chorej wyobraźni, a jego obrzękłe, beczynne ciało przebiegał przyjemny dreszcz.

Wszystko to jednak było nieistotne i przemijające. Marne i małe jest życie ludzkie, równie marne, jak zło i brzydota. I tylko jedna ziemia, rozpościerająca się szeroko pod błękitnym niebem, pokryta świeżą zielenią, przyjmowała wszystko i wszystkich. W lasach ciepłym blaskiem lśniło igliwie, a mchy miękko otulały brzegi strumienia. Nieżywy, leżący na polnej miedzy kret także wróci do ziemi. Ciało jego stanie się pokarmem dla robaków, a aksamitne futerko butwiejąc użyźni czarną glebę. Ziemia przyjmie wszystko.

Nie było teraz nocy, dzień łączył się z dniem; po długiej zimie i kapryśnej wiosnie ziemia kwitła wspaniałością lata, mieniając się kolorami w jaskrawym blasku słońca.

Po całym tygodniu ciężkiej pracy sobotni wieczór przynosił zmęczonemu ciału zasłużony odpoczynek. Dobrze było w chłodzie spichlerza wyciągnąć się na posłaniu z pachnących brzoźowych gałęzi.

W niedzielę, wczesnym rankiem, stary Herman poprosił o konia i pojechał do kościoła. Nie jadł śniadania, wyjechał na czczo, aby przyjąć najświętszy sakrament. Poza kilkoma niezbędnymi słowami, skierowanymi do Aaltonena, kiedy ten zaprzęgał mu konia, stary nie odzywał się wcale. Aaltonen także milczał czując, że Herman jest w podniosłym nastroju, którego nie chciał z nikim dzielić. W tę piękną letnią niedzielę miał przystąpić do stołu bożego, spożyć ciało i krew pańską. Jego usta miały zakosztować chleba wiecznego żywota i krwi przed wiekami za niego przelanej.

Uśmiech zastygł na twarzy Aaltonena, kiedy pomyślał o tej wielkiej tajemnicy, która nigdy dotychczas nie miała dla niego wielkiego znaczenia. Kiedyś, dawno, jako chłopiec jeszcze, podczas confirmacji miał w ustach suchy opłatek i kilka kropel świętego wina. Wkrótce potem zaczął zaliczać się do ludzi dorosłych, którzy sami na siebie pracują, sami budują sobie życie według własnej woli, sami za siebie odpowiadają. Rozpoczął pracę w fabryce i w tym środowisku nie miał okazji do zastanawiania się nad tymi sprawami. Potem własne przeżycia tak go pochłonęły, że nie miał czasu na rozmyślanie o Bogu.

Nie bał się Kościoła i duchownych, ale także nie żywił dla nich szczególnego szacunku. Nigdy jednak nie uczestniczył w kpinach i szyderczych uwagach, kierowanych pod ich adresem.

Teraz przez bliskie obcowanie z ziemią i naturą instynkt zmuszał go do zastanawiania się nad tą wielką tajemnicą. Kiedy tak stał nieporuszony przed stajnią i patrzył na białą kobyłę, krętą drogą ciągnącą wóz w stronę wsi, zdawało mu się, że w blasku jasnego letniego dnia śmierć siedzi na wozie zaprzęgniętym w białego konia i trzyma lejce w żylastych, kościstych dłoniach. Chleb i wino,

ciało i krew, ziemia i jej tajemnicze zespolenie z człowiekiem przerastały jego umysł i trwały wiecznie. Jakaś nicością wydawały mu się wobec nich ludzka wiedza i ludzka myśl.

Stojącym nieruchomo przed stajnią Aaltonenem wstrząsał dreszcz. W przebłysku nagłego zrozumienia pojął, że pod widoczną dla każdego skorupą codziennej rzeczywistości kryje się dziwna tajemnica istnienia. Kiedy wyprostował się i przetarł dłonią twarz, budząc się jakby ze snu, wydawało mu się, że opadły z niego suche, obumarłe łuski. Jak z ziarna, które pod wpływem tajemniczej siły przebiło twardą skorupę kielkując ku nowemu życiu i pozostawiło niepotrzebną lupinę w ziemi.

W niedzielę śniadanie jedli później. Kiedy Aaltonen wszedł do kuchni, spostrzegł, że podłoga była zamieciona i czysto umyta. Na stole stały polne kwiaty w glinianym dzbanku. Po raz pierwszy kobieta przyniosła kwiaty, starając się przystroić odświętnie ich zwykłą, roboczą izbę.

Jedli we dwoje przy szerokim stole. Kobieta kroїła chleb i dawała kromki Aaltonenowi. Spożywał go w milczeniu i wydawało mu się, że jest to chleb błogosławiony. Kobieta nalała mu do talerza zupy i podała kubek piwa. On pił i jadł. Po skończonym posiłku Aaltonen zazwyczaj wycierał pośpiesznie usta wierzchem dłoni i odchodził od stołu. Dzisiaj zatrzymał się nieco dłużej. Potem podziękował i wstając, po kryjomu, dużymi dłońmi nakreślił znak krzyża na brzegu stołu, jak to miał zwyczaj czynić stary Herman przed rozpoczęciem jadła.

Kobieta zauważyła ten ruch i pod jej spojrzeniem twarz Aaltonena okrył ciemny rumieniec. Wszedł szybko na podwórko i stał przez chwilę patrząc w jasne, pogodne niebo. Potem przysiadł na schodkach spichlerza w ciepłym blasku słońca. Nie mógł zapomnieć tego jej spojrzenia. Jej oczy, które dawniej były twarde jak dwa szafirowe kamienie, stały się teraz miękkie, łagodne i piękne. Na myśl o tym spojrzeniu gorący rumieniec palił jego

policzki jeszcze teraz, kiedy siedział na progu spichlerza, a nisko latające jaskółki śmigają nad jego głową. Siedział tak długo, zamyślony, z rękami beczynnie spoczywającymi na kolanach i śledził spojrzeniem lot ptaków i białe obłoki na niebie.

Nagle przebiegł go dreszcz. W drzwiach domu ukazał się mężczyzna z izby za kuchnią i z roztargnieniem rozglądał się dokoła. Spojrzał nieprzyjaźnie na Aaltonena i skierował kroki ku niemu. Aaltonen poczuł ogarniającą go niechęć i zawziętość, dłoń zacisnęła mu się w pięść, ale mężczyzna zmienił zamiar, zawrócił i niepewnym krokiem poszedł dróżką, którą zwykle bydło szło w stronę lasu. Widocznie wybrał się na niedzielną przechadzkę. Idąc podniósł z ziemi kamień i cisnął nim, aż zadudniło, w ścianę stajni.

Z napięciem i odrazą Aaltonen przypatrywał się jego leniwym krokom i roztargnionemu zachowaniu. Mężczyzna zbliżył się właśnie do płotu i uniósłszy się na ramionach, usiłował go przeskoczyć, ale nie udało mu się to, wisiał przez chwilę, aż wreszcie spadł ciężko na drugą stronę. Klnąc i złorzecząc podniósł się i powłókł ścieżką ku lasowi, w którym wkrótce zniknął.

Wtedy w drzwiach domu ukazała się kobieta. Stała przez chwilę na progu i patrzyła w stronę lasu. Aaltonen przyglądał się jej z otwartymi ze zdumienia ustami. Miała na sobie piękną długą suknię z dekoltem i krótkimi rękawami. Takie suknie w letnie, upalne dni nosiły zwykle eleganckie miejskie kobiety. Włosy upięte miała miękko wokół głowy. Pochyliła się, aby zerwać kwiatek koniczyzny, potem lekkim i płynnym krokiem podeszła w stronę spichlerza. Aaltonen zobaczył na jej twarzy uśmiech. Uśmiech po raz pierwszy skierowany do niego, i na ten widok serce zaczęło mocno bić mu w piersiach. Pochylił nisko głowę i aby ukryć swój wzrok, przypatrywał się swoim leżącym beczynnie na kolanach dużym dłoniom.

Kobieta stanąwszy przed nim patrzyła na jego pochyloną głowę i przez cały czas uśmiechała się tajemniczo. Piękna suknia miękko

okrywała jej kształty. Zniszczone, spracowane ręce założyła za siebie. Kaprys nakazał jej włożyć tę sukienkę, której już nigdy nie spodziewała się widzieć na sobie. Uśmiech rozjaśniał jej twarz, a ona po raz pierwszy nie starała się ukryć bijącej z niej radości. Z uczuciem szczęścia patrzyła na nisko pochyloną głowę mężczyzny, na jego opalony kark, odcinający się wyraźnie od jasnego kołnierza koszuli. Zapragnęła nagle dotknąć tej nisko opuszczonej głowy, pogłaskać mocną, opaloną szyję. Dotknięciem tym pragnęła zagarnąć je na własność. Spoważniała jednak i marszcząc gładkie czoło odezwała się:

– Ani razu nie byliście jeszcze we wsi, Aaltonen. Może mielibyście ochotę wybrać się tam?

Pierwszy raz zwróciła się tak do niego, i na dźwięk tych nienaturalnie brzmiących słów Aaltonen podniósł głowę i ze zdziwieniem spojrzął na nią. Wytrzymała jego spojrzenie i wciąż marszcząc czoło zdawała się czekać na odpowiedź.

– Nie, nie mam ochoty iść do wsi – odparł Aaltonen i patrzył na nią poważnie.

Poczuł się nagle nieporadny i zawstydzony jak mały chłopiec, którego drażni pytaniami starsza i pewna siebie dziewczynka chcąc go wprowadzić w zakłopotanie. Jego spojrzenie ogarniało sylwetkę kobiety i zatrzymywało się nieśmiało na jej obnażonej szyi i ramionach.

Czuła to spojrzenie na sobie, czuła także, jak szybki oddech unosi pod sukienką jej piersi. Kiedy tak stała przed nim z rękoma założonymi do tyłu, nagle i jej spojrzenie stało się niepewne, rumieniec zalał jej białą szyję i opalone policzki. Wyraźnie speszona, nieśmiało przysiadła na schodkach wiodących do spichlerza. Wybrała miejsce niezbyt blisko mężczyzny, ale z łatwością mogła go dotknąć, gdyby wyciągnęła rękę. Była trzydziestoletnią, dojrzałą kobietą jak i ten obok siedzący mężczyzna, ale nagle w tym pięknym, słonecznym niedzielnym dniu poczuła się jak młoda dziewczyna,

która po raz pierwszy w życiu zbliżała się do wybranego mężczyzny, aby upewnić się w swej sile oddziaływania na niego, aby pofolgować swej niepohamowanej zalotności.

– Czy nie czujecie się tutaj samotny, Aaltonen? – zapytała znowu, starając się ukryć podniecenie, które w niej wzbudzała jego bliskość.

Aaltonen popatrzył na nią. Jego brązowe policzki nieco przybladły, pociemniałe oczy patrzyły prosto w oczy kobiety.

– Nie, nigdy – odpowiedział mocno i zdecydowanie.

Chciał, aby zrozumiała, że od chwili, kiedy ona była w pobliżu, od chwili, kiedy mógł pracować dla niej, mieszkać w jej domu, być u niej choćby tylko najemnym parobkiem, nigdy nie odczuł samotności.

Głębokie, ciepłe wzruszenie opanowało kobietę. Nie mogła dłużej powstrzymać się od okazania swych uczuć.

– Ach nie... – powiedziała cicho, tylko po to, aby coś rzec, i jednocześnie wyciągnęła zniszczoną od pracy dłoń, i lekko położyła ją na ramieniu mężczyzny. Tym gestem zawładnęła nim na zawsze.

Siedział nieporuszony, najmniejszym drgnieniem nie zdradzał swych uczuć, tylko serce biło mu młotem w piersiach tak mocno, że niemal słyhać było jego łomotanie, że widać było, jak tętni w przegubach jego rąk. Czują je także pod swoją dłonią kobieta. Poruszona do głębi, czuła ten rytm w swojej krwi. Tajemne uczucie odrodziło ją, uczyniło świeżym i nietkniętym jej poniżane i gwałcone ciało.

Siedzieli tak przez długą chwilę, kobieta wsparta na silnym ramieniu mężczyzny. Kiedy potem delikatnie cofnęła dłoń, ręka zwisała bezwładnie, ciało opadło z sił i znowu poczuła się pusta, zagubiona i samotna. Zniknęła bez śladu jej zalotność. Znowu była kobietą, która wiele przeżyła, doświadczyła zła i okrucieństwa. I

choć ręce jej nadal pragnęły dotykać tego obcego, a tak bliskiego i kochanego mężczyzny, założywszy je za siebie odezwała się spokojnie i poważnie:

– Dlaczego porzuciliście dom, Aaltonen?

To pytanie dręczyło ją od pewnego czasu, chciała znać przeszłość tego człowieka, aby upewnić się, że nic i nikt jej go nie odbierze. Była o tę przeszłość zazdrosna i pragnęła zatrzeć ją w jego pamięci, uwolnić od niej jego myśli.

Tego mężczyznę chciała uważać za własnego. Ten mężczyzna był dla niej, ofiarowała go jej stara, błogosławiona ziemia, błogosławiona polna droga przyniosła go do jej domu o zmierzchu wiosennego dnia.

– Dlaczego odeszliście z domu, Aaltonen? – zapytała ponownie, oczekując z niepokojem na odpowiedź. I znowu jej ręka delikatnie dotknęła ramienia mężczyzny obejmując go w posiadanie.

7

Mężczyzna milczał, mimo że odpowiedź nie była dla niego trudna ani kłopotliwa. Zrozumiał, że cała przeszłość stała się dla niego nieważna i martwa, wszystko zło i cała gorycz tkwiące w duszy zatarły się i nie sprawiały już bólu – jak w zdrowym organizmie, który walcząc z ciężką chorobą, otoczył nową tkanką obce ciało i izolując je od reszty, nie zwraca na nie więcej uwagi.

Podniósł wreszcie wzrok na kobietę. Łatwiej bowiem, było mówić patrząc w jej złagodniałe i błyszczące oczy. Nie zastanawiał się nawet nad słowami, choć te sprawiały mu zawsze kłopot i z trudem podporządkowywały się myślom. Wszystko teraz stało się nagle proste i łatwe, kiedy słońce rzucało ciepłe promienie na schodki wiodące do spichlerza, kiedy za płotem podwórka widać było zielone pola i kiedy dłoń kobiety lekko spoczywała na jego ramieniu.

– Miałem zostać ogrodnikiem – zaczął powoli opowiadać. – Byłem na praktyce w ogrodzie należącym do fabryki, a później miałem uczyć się w szkole ogrodniczej. Ale przeszkodziła mi służba wojskowa. Kiedy po roku wróciłem z wojska, umarł mi ojciec i w domu nie było już pieniędzy na naukę. Przez parę lat pracowałem jeszcze w gospodarstwie fabrycznym, oszczędzałem każdy zarobiony grosz, bo chciałem jednak pójść do tej szkoły. Ale byłem sam i nie potrafiłem używać życia jak inni. Ona była ode mnie starsza spotkałem ją kiedyś wieczorem, byliśmy z sobą i po tym pierwszym razie uważałem, że powinienem się z nią ożenić. Chciała, żebym zaczął pracować w fabryce, a ponieważ zakład rozbudowywano, dostałem miejsce bez trudu. Nie chciała mieszkać na wsi, nie miała tam towarzystwa ani okazji do zabawy. Wkrótce oznajmiła mi, że spodziewa się dziecka. Mimo to zawsze wychodziła gdzieś wieczoro-

rami, spotykała się ze swym towarzystwem. Szybko zniknęły moje oszczędności. Już wtedy zacząłem bać się życia z tą kobietą i nawet rozmyślałem o rozstaniu z nią, ale cóż, dziecko miało się urodzić, a nawet przez myśl mi wówczas nie przeszło, że mogło być ono nie moje. I tak zacząłem pracować w fabryce, nie miałem właściwie powodów do narzekania, bo majstrowie i inżynierowie byli ze mnie zadowoleni. Po pewnym czasie dostałem zupełnie przyzwoitą pensję, dano mi także niewielką parcelę i zaciągnąłem pożyczkę na budowę domu. Nie potrafiłem żyć w wynajętym mieszkaniu, w samym środku robotniczej kolonii, bez ziemi, bez drzew, w ciągłym hałasie grających gramofonów, radia, wśród kłócących się kobiet, mając przed sobą ciasne podwórka zawieszane suszącą się bielizną.

Aaltonen przerwał na chwilę, duże dłonie złożone na kolanach poruszały się nieznacznie, a oczy patrzyły w zamyśleniu daleko przed siebie. Zdawało mu się, że znowu oddycha tamtym zatrutym wyczewami fabrycznymi powietrzem. Siedząca obok kobieta westchnęła lekko, i Aaltonen znowu zaczął mówić.

– Wychowany byłem na wsi i trudno mi było przyzwyczać się do pracy w fabryce. Brak mi było powietrza, dusiłem się, a kobieta, która nocą spała obok mnie, szybko stała mi się obca. Przez pierwszy rok jakoś tam jeszcze było. Później, kiedy dziecko już trochę podrosło, i nie była tak uwiązana, zaczęła się nudzić w domu. Nie było wieczoru, żeby gdzieś nie wychodziła. Albo do kina, albo na tańce, a kiedy nie było już żadnej innej okazji, chętniej przesiadywała u sąsiadów na plotkach niż we własnym domu. Próbowала nawet zabierać mnie z sobą, ale nie pasowałem do tego towarzystwa, nie potrafiłem rozmawiać tak jak oni, nie umiałem śmiać się z tego, co wcale nie było śmieszne. W lecie wolałem grzebać się w ogrodzie, a i zimą chętniej zostawałem w domu, w wolnych chwilach naprawiałem rowery, zamki, a nawet różne aparaty elektryczne. Chciałem dorobić trochę, abyśmy jak najprędzej mogli spłacić pożyczkę, zaciągniętą na budowę domku. Zawsze panowała między nami niezgoda. Coraz częściej wracała do domu późną nocą, zwłaszcza w

soboty wychodziła, umalowana i wystrojona, na dłużej. Wraciała dopiero nad ranem, bił od niej zapach wódki. Czasem przypro-wadzała ze sobą gości. Grali w karty, a mężczyźni zawsze przynosili wódkę. Na mnie nie zwracali najmniejszej uwagi, nie krępowałem ich. Czasem byłem już tak zły i zniecierpliwiony, że wychodziłem, przeklinając, nocą do ogrodu i tam zastanawiałem się, jak z tym skończyć. Żał mi było dziecka. Czasem potrafiła być dobrą matką. Ubierała dziecko ładnie, ale to tylko po to, żeby się nim móc chwalić. Czasem znowu nie chciało się jej nawet ugotować mu jedzenia. Dziecko godzinami bawiło się samo na podwórku. Głodne i brudne szło spać. Ale już od chwili, kiedy mała nauczyła się chodzić i mówić, zawsze razem występowały przeciwko mnie, obie: matka i córka. To ja byłem zły, budziłem strach, nie potrafiłem się bawić ani śmiać. To ja byłem niezadowolony, ja psułem im każdą wesołą chwilę. Czasem doprowadzały mnie do takiej wściekłości, że biłem je obydwie, sam zamykałem się potem w komórce. Zrobiłem tam sobie nawet legowisko i miałem gdzie się schronić.

Aaltonen ucichł znowu, a kobieta wstrzymawszy oddech i odwróciwszy głowę spytała po chwili:

– Czy ona była ładna, wasza żona?...

Przez chwilę mężczyzna rozważał odpowiedź. Chciał być sprawiedliwy, ale nie chciał przesadzić, a przeszłość była już tak odległa i martwa, że bez trudu mógł o tym mówić.

– Miała okrągłe, brązowe oczy i gładką cerę. Nie była wysoka, o wiele niższa ode mnie, krągła. Mężczyźni oglądali się za nią i uśmiechali zaczepnie. Osiem lat musiało upłynąć, nim pojąłem to, czego z braku doświadczenia nie dostrzegalem na początku. To nie była żona, tylko dziwka. Dla mnie też była dziwką, bo za swoje ciało wyłudzała ode mnie wszystko, czego chciała, nawet to, czego jej nie chciałem dać. Kiedy to zrozumiałem, zacząłem nienawidzić samego siebie. Kupowała lekkomyślnie stroje, tanie świece, bilety do kina i na tańce, wszystko, co sprawiało jej przyjemność. Każda rzecz

miała dla niej swoją cenę, także pieszczoty mężczyzn. Nawet nie wiem, czy uważała, że źle postępuje, taka już była jej natura, nie potrafiła być inną. Przez tych osiem lat najważniejsze potrafiła ukryć przede mną, liczyła się trochę ze mną. Przychodziło jej to bez trudu, bo w całej tej kolonii fabrycznej nie miałem nikogo bliskiego, kto otworzyłby mi oczy i powiedział prawdę. Z biegiem czasu udało się jej zatruć mi życie i odebrać wszystko, co mogłoby mi sprawić zadowolenie. Zawsze ja byłem tym, który nie miał racji, ja byłem tym, który zabraniał rozrywek i przyjemności. Była o tym głęboko przekonana i jeżeli w ogóle myślała o czymś więcej niż o swoich przyjemnościach, to na pewno uważała, że mając koło siebie takiego ponuraka, dobrze czyni mszcząc się, obrażając moją godność i śpiąc z innymi mężczyznami nawet we własnym domu. Dla mnie szybko stała się obcym człowiekiem i już po pierwszym roku wspólnego życia przestała być dla mnie żoną. Ale mimo to przez wiele nocy, kiedy przyjmowała w kuchni swoich gości, kiedy do późnych godzin hałasowano i grano w karty, a potem głosy cichły i słychać już było tylko szepty i skrzypienie łóżka, leżałem nie śpiąc i zaciskałem pięści z bezsilnej wściekłości.

Aaltonen, z rękoma opartymi o kolana, mówił przez cały czas jak gdyby do siebie. Dopiero teraz zwrócił twarz do kobiety, która siedziała w pobliżu na schodkach. Pochyliła nisko głowę i jej jasne włosy lśniły ciepłym blaskiem w promieniach słońca. Patrzyła w ziemię.

– Czy mam dalej mówić? – zapytał Aaltonen, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę, że wszystko to nie może ich przecież obchodzić. Było to opowiadanie o przeszłości, o życiu w obcym świecie, z którym żadne z nich nie mogło mieć nic wspólnego. Były to obumarłe wspomnienia i nawet nie warto było do nich wracać.

– Opowiedzcie wszystko, Aaltonen – przerwała jego rozmyślenia, siedząc nadal ze spuszczoną nisko głową. – Będziemy to mieli

już za sobą – dodała i wyciągnawszy dłoń zaczęła skubać źdźbła trawy rosnącej u jej stóp.

– Zaczęła mnie nienawidzić – zachęcony ciągnął dalej Aaltonen.
– Stałem się dla niej wstrętny. Coraz mniej w końcu ukrywała swoje występki, myślała może, że jestem wciąż jeszcze tak głupi, że nie widzę tego, co robi, albo że na wszystko się godzę. A może chciała doprowadzić mnie do takiej wściekłości, abym zrobił coś takiego, po czym mogłaby mnie rzucić i wystąpić o alimenty. Kiedyś rano, wychodząc do pracy, znalazłem ją zupełnie pijaną śpiącą w kuchni pomiędzy dwoma mężczyznami. Wreszcie dowiedziałem, się, że dziecko nie jest moje. Pewien majster z naszej fabryki, żonaty, namówił ją, aby się za mnie wydała. Była właśnie w ciąży i oczekiwała jego dziecka. Przez osiem lat dawał jej potem pieniądze na jego utrzymanie, bojąc się skandalu. Kiedy żona jego umarła, przyszedł do mnie podczas przerwy obiadowej, sam wszystko powiedział i oświadczył, że nie ma zamiaru dalej płacić. Była późna jesień; na jabłonce, którą sam posadziłem przed domem, wisiały dojrzałe jabłka. Drzewo sadzone moją ręką zdażyło już urosnąć i wydać owoce. Popatrzyłem na nie. Nie czułem już nienawiści i goryczy. Przeciwnie, kiedy wracałem z fabryki do domu drogą, która przez te lata zbrzydła mi doszczętnie, podobnie jak stojące przy niej budynki – odczułem dziwną ulgę. Nie patrzyłem dokoła, nie pytałem o nic, nie powiedziałem ani jednego słowa. Włożyłem odświętne ubranie, wyjąłem z pudełka resztę pozostałych z wypłaty pieniędzy, zdjąłem czapkę z kołka i wyszedłem. I to już wszystko...

Umilkł. Cień jakiś zaległ między nimi i dzień zdawał się być mniej jasny niż przed chwilą. Wszystko stało się jakby puste i ciche, tylko jaskółki nadal śmigały nisko koło obejścia. Siedzieli blisko siebie i milczeli. Aaltonen pomyślał, że może lepiej byłoby nie opowiadać wszystkiego, ale nie chciał niczego ukrywać przed tą kobietą. A ona milczała, i to go niepokoiło. Nieśmiało poparzył na nią z boku. Siedziała zamyślona z nisko pochyloną głową, nie widział jej twarzy i nie śmiał dotknąć jej ramienia.

Nareszcie powiedziała: – Chodźmy, Aaltonen. – Wstała, obciągnęła sukienkę i pociągnawszy go lekko za ramię, ruszyła przez podwórko harmonijnie kołyszącym się krokiem. Aaltonen szedł za nią zdziwiony. Przeszli przez podwórko, minęli chlew i saunę. Zbliżywszy się do strumienia, kobieta pochyliła się i zerwała kilka niebieskich kwiatów rosnących na jego brzegu i szła dalej w stronę jeziora. Aaltonen kroczył posłusznie za nią, a ona nie odwracała się nawet. Szerokie niebo rozpościerało się nad nimi. Pole skończyło się i weszli na soczystą, zieloną łąkę. Kobieta ciągle szła naprzód. Wreszcie jezioro, czarne zwierciadło, znalazło się tuż przed nimi i choć dzień był gorący, Aaltonen poczuł wilgotny chłód unoszący się znad wody. Chciał zatrzymać się, kiedy zielony mech, pokrywający urwisty brzeg, zaczął ugiąć się pod ich stopami, ale kobieta lekko i zwinnie szła dalej i stanęła dopiero nad samą nieruchomą taflą wody. Ze zdziwieniem zobaczył, jak bawiło ją uginanie się miękkiego mchu pod nogami. Mech ugiął się, i woda powoli obejmując stopy zmoczyła jej odświętne pantofle. Nie zważała na to, kołysała się całym swym na nowo do życia zbudzonym ciałem na miękkiej krawędzi brzegu, pokrytej zielonym mchem.

Jasne słońce świeciło nad ich głowami, na południowej stronie wznosiła się ciemna ściana świerków, otaczających poczerniałą od dymu saunę. Kobieta z obnażonymi ramionami i jasnymi włosami, łagodnie opadającymi wokół opalonej twarzy, kołysała się wciąż na krawędzi głębiny. Wreszcie zatrzymała się i przesunęła ręką po czole. Cofnęła się i ostrożnie, wybierając suche miejsca, wróciła do Aaltonena. Wyciągnawszy obie ręce objęła jego ramiona i odchyliwszy nieco głowę, powiedziała:

– Tak właśnie się teraz czuję, jakbym bujała w przestworzach.

Aaltonen zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Takie było ich życie, nad głowami szerokie niebo, pod stopami ciemność bez dna. Wisząc przed chwilą na krawędzi zdradliwej toni była wolna jak ptak, nie miała żadnych obowiązków, żadnych więzów. Piękne jej

ręce obejmowały szyję mężczyzny, a twarz pochylała się ku niemu jasna i opromieniona radosnym uśmiechem. Wreszcie opuściła ręce, jakby to dotknięcie było zbyt silne, ciepłe i żywe, aby mogło być prawdą.

Wracając wzdłuż strumienia ku domowi usłyszeli odgłos toczących się z góry drobnych kamieni. Spadały z dróżki wiodącej szczytem skał. To mężczyzna z izby za kuchnią schodził skalistą ścieżką w dół i trzymając w ręku gałąź, z której oberwał liście, uderzał nią o drzewa i krzewy. Spod jego niepewnych stóp uciekały drobne kamienie.

Idąca obok Aaltonena kobieta zeszywniała. Twarz jej oziębła, usta się zacięły, a oczy znowu zaświeciły jak zimne kamienie. Nie oglądając się już na Aaltonena przyśpieszyła kroku, minęła szybko oborę i przeszedłszy podwórko weszła do izby.

Aaltonen zatrzymał się przy saunie w cieniu ciemnych świerków. Stał nieruchomo i tłumiąc oddech czekał, aż minie go idący ku domowi mężczyzna. Z zaciśniętymi pięściami patrzył na jego zgarbione plecy i leniwą rękę, trzymającą niedbale odartą z liści gałąź. Kiedy mężczyzna zniknął w domu, Aaltonen wrócił na podwórko i usiadł znowu na schodkach spichlerza, w tym samym miejscu, gdzie niedawno siedział obok kobiety. Lekki, wiejący od pół wiatr chłodził jego gorące czoło. Nie czuł tego. Żyto zieleńło się za płotem, ale i na nie patrzył. Podniósł ramię i uważnie przyjrzał się swej ręce. Była duża i mocna. Potrafiła pracować ciężko od świtu do nocy. Naprężył pierś. I ona była potężna, spalona słońcem, brązowa pod białą koszulą. Skąd więc ta dziwna słabość, która rozlała się po jego ciele? Czy znowu w życiu natrafił na zaułek, z którego nie było wyjścia? Okrutne kajdany znów przeszkadzały mu w spełnieniu pragnień, choć krępowały nie jego, lecz drugiego człowieka.

Ale nie potrafił już i nie chciał dręczyć się rozważaniami. Wszystko wydało mu się proste i jasne, choć w tej chwili nie widział żadnego wyjścia z sytuacji.

Nagle zerwał się na nogi, w oczach mu pociemniało. Z zamyślenia wyrwał go krzyk dochodzący z izby. Krzyk niósł się przez ściany domu, przez podwórko i kiedy doszedł do jego uszu, odgadł w nim nieomylnie wezwanie, które zrodziło w nim zimny dreszcz grozy.

Dopadł drzwi izby i szarpnął je z całej siły. Kobieta, powalona na kolana, klęczała na podłodze, a mężczyzna z izby za kuchnią drżąc ze zwierzęcej żądz, wykręcał jej ręce do tyłu. Dziką żądzę wzbudziły w nim obnażone ramiona kobiety i dawno nie widziany jej świąteczny ubiór. Nie widział nic dokoła. Aaltonen w jednej chwili chwycił za kark rozjuszony zwierzę, uniósł w górę i cisnął z całych sił o podłogę. Podniósł go jeszcze raz za kark z podłogi, postawił i dwa razy mocno uderzył w policzek. Mężczyzna nie bronił się wcale. Uniósł ręce i zakrył nimi twarz. Aaltonen chwycił go za kołnierz, wyprowadził i wepchnąwszy do jego izby, zamknął za nim drzwi na klucz. Potem położył klucz na stole w pokoju kobiety. Dopiero teraz i on zaczął drzeć. Trzęsły mu się ręce i nogi uginały pod nim. Przez chwilę zatrzymał się w pokoju kobiety, popatrzył na jej wąskie i twarde poślanie. Potem wrócił do kuchni.

Kobieta klęczała jeszcze na podłodze, rozcierając wykręcone przeguby dłoni. Suknia rozerwana na przodzie obnażyła jej pierś. Nawet nie usiłowała jej zakryć, kiedy Aaltonen, drżąc jeszcze i oddychając głośno, podniósł ją z kolan i objął. Sztywna i zmartwiała stała w uścisku jego silnych ramion. W nieruchomej twarzy niebieskie oczy świeciły zimnym blaskiem. Kiedy powoli uwolnił ją z uścisku, podniosła twarz i beznadziejnym ruchem odgarnęła opadające na policzki włosy. Potem zmęczona naciągnęła na ramiona sukienkę i powiedziała tylko:

– Idź już, idź...

Aaltonen popatrzył na nią raz jeszcze oczyma, w których zgasły już iskierki straszego gniewu, potem wziął leżącą na piecu osełkę do ostrzenia noży i wyszedł na dwór.

Kiedy po chwili kobieta zjawiała się na podwórku, znów w swej zniszczonej, codziennej sukience, zobaczyła Aaltonena siedzącego na schodach i ostrzającego siekiere. Sztywno podeszła i usiadła obok niego. Aaltonen nie przerwał zajęcia, nie podniósł nawet głowy. Odrętwiałą ręką dotknęła jego kolana i spytała:

– Dlaczego dzisiaj to robisz, przecież jest święto?... Aaltonen przerwał ostrzenie i podniósł na nią oczy. Wskazując głową na dom odparł:

– Zabiję go.

Kobieta spojrzała twardym wzrokiem, twarz jej się zmieniła, rysy jak gdyby zastygły. Patrzył na nią z wyczekiwaniem. Wreszcie odezwała się z beznadziejną nutą w głosie:

– Nie, tak nie można.

I położywszy swą wąską dłoń na jego silnej ręce, dodała cicho:

– Straciłabym wtedy i siebie...

Wokół nich rozciągała się ta sama ziemia, nad nimi to samo szerokie, pogodne niebo, to samo pole zieleniło się za płotem. Tylko ich radość gdzieś zniknęła. Ziemia jednak nie była czuła na radość i smutek. Bez sprzeciwu przyjęłaby także to wstrętne, obrzękłe ciało, kości okryte tłuszczem, rozpulchnioną, czarną wątrobę, nieczułe serce, gdyby tylko ostrze siekiery pozbawiło je życia. Milcząca, spokojna i wieczna ziemia nie wyrzuciłaby go ze swego łona. Jednak nie mogło się to stać, chociaż tak byłoby sprawiedliwie. Nie można było tak postąpić. Kobieta westchnęła ciężko i zdjęła dłoń z ręki Aaltonena. Twarz jej znów była zacięta i skamieniała. Ręce jej znów były zgrabiałe. Ogarnęło ją ogromne przygnębienie i skrajna beznadziejność.

– Wpuść mnie do siebie, do spichlerza – odezwała się i nie czekając na odpowiedź wstała i wolno zaczęła wchodzić po stopniach. Otworzyła drzwi i schyliwszy głowę weszła do ciemnego,

chłodnego wnętrza. Aaltonen odniósł na miejsce siekiere i oselkę i poszedł za nią.

Położył się na posłaniu okrytym zgrzebnym prześcieradłem, obok kobiety. Ona przytuliwszy twarz do twardego płótna objęła go ramieniem za szyję. Kojąco działał dotyk jej rąk stwardniałych od ciężkiej pracy. I w tej chwili żadne z nich nie czuło się samotne.

Leżeli bez ruchu obok siebie w mrocznym spichlerzu tak długo, aż przez okienko zaczęły wpadać skośne promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Z drogi dobiegł stukot kół powracającego wozu. Aaltonen wstał i wyjrzał przez okno. Biała kobyła opuściwszy łeb ciągnęła rozklekotany wóz, na którym siedział chudy, kościsty Herman trzymając w rękach lejce. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca długi cień konia i wozu kładł się daleko na ciągnące się za ścieżką pole. Śmierć wjechała na podwórko na starym, białym koniu.

8

Dni płynęły dalej, jakby nic się nie wydarzyło. Czasami obmywały ziemię deszcze i wówczas wysokie trawy przy studni rosły bosa łydki kobiety, a jasne włosy lśniły nasiąknięte wilgocią.

Niebo ponad skałami pokrywały ponure, czarne chmury, przecinane raz po raz zygzakami błyskawic, echo grzmotów niosło się daleko, krowy blisko jedna przy drugiej skupiały się pod drzewami, szukając schronienia przed nawałnicą; strumyki wody wraz z ulewą wartko spływały w dół po skalistej ścieżce.

Potem znów nadchodziły pogodne dni. Na polach lśniły soczystą zielenią liście ziemniaków, a żyto falowało miarowo jasnymi, pełnymi kłosami na zagonie zalany słońcem.

Był czas sianokosów i ziemia niewiele dawała teraz czasu na odpoczynek tym, którzy na niej pracowali. Aaltonen podczas krótkich nocy spał twardo i bez snów, a kobieta, która pomagała przy ustawianiu kop siana, wieczorem doiła krowy i przygotowywała posiłki, aby nakarmić ludzi i zwierzęta, łatwiej teraz zapominała o rzeczach, które najchętniej wyrzuciłaby ze swej pamięci na zawsze.

W tym gorączkowym okresie, nawet stary Herman wyszedł jeszcze w pole. Mieszkający w izbie za kuchnią mężczyzna także pracował przez parę dni na swój kawałek chleba. Szybko jednak siły jego wyczerpały się i narzekając na bóle głowy i żołądka, znowu pozostał w domu.

Nadeszły dni, kiedy kobieta, myjąc ranną porą ręce w zimnej wodzie potoku, zaczęła się uśmiechać. Uśmiechała się, kiedy wsparta o kopę siana wycierała pot spływający z czoła i patrzyła za odjeżdżającym, naładowanym po brzegi wozem, który z wysiłkiem

ciągnęła stara kobyła. Podwijiała rękawy i rozpiniała bluzkę pod szyją, a ciepłe, ożywcze promienie słońca spalały jej skórę. Zwinne i mocne, na nowo zbudzone do życia ciało z radością witało wysiłek i ciężką pracę. Jej jędrne piersi wznosiły się pod cienką bluzką, a znojony pot spływał po plecach.

Dobrze było móc codziennie patrzeć na obcego, a tak bliskiego i kochanego mężczyznę pracującego tuż obok. Na jego mocny kark i silne plecy.

Pewnego dnia, wstawszy przed świtem, Aaltonen sam poszedł kosić łąkę leżącą za lasem. Po obiedzie chciał jeszcze zdążyć zwieźć siano znad jeziora.

Nazajutrz kobieta odezwała się do starego Hermana:

– Może moglibyście wieczorem wydoić krowy, poszłabym też do siana i jednego dnia skończylibyśmy koszenie na łące za lasem.

Stary Herman popatrzył na nią wyblakłymi oczyma. Popatrzył także na Aaltonena, który odwrócił ciemnym rumieńcem oblaną twarz.

– Dobrze, dam sobie radę z krowami – odpowiedział po chwili i choć chciał jeszcze coś dodać, zamilkł.

Potem już na podwórku, patrząc w stronę wsi, stary powiedział do Aaltonena:

– Wydoję krowy także rano i odwożę mleko do mleczarni, koń przecież nie będzie wam tam potrzebny. Nie będziesz pracował dzień i noc bez snu dla takiej błażej przyczyny.

Aaltonen nic na to nie odpowiedział. Według jego obliczeń, pracując we dwoje powinni zdążyć do wieczora skosić całą łąkę i poskładać siano w kopy. Pod spokojnym spojrzeniem starego Hermana czuł się jak złodziej. Serce w piersi biło mu młotem.

– Uważajcie na lejce – zwrócił się do Hermana – jedna jest naderwana, w tym nawale pracy nie zdążyłem z naprawą.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy skoszone siano stało ułożone w kopach. Okolica była tutaj piękna. Zaczynały się rozległe lasy, w których spotkać można było jelenie i dużo zajęcy. Towarzystwo myśliwskie wynajmowało tu tereny łowne, i jesienią, pod koniec każdego tygodnia zjeżdżali tu liczni myśliwi ze sforami psów. Dla nich właśnie wybudowano saunę na skalistym brzegu pośród lasu położonego jeziora.

Opowiedziawszy o tym Aaltonenowi, kobieta spojrzała na saunę i rzekła:

– Zanocujemy tutaj...

Niewielki odcinek drogi dzielił łąkę od jeziora. Na jego spokojnej powierzchni kołysało się kilka nenufarów, konary drzew rosnących na brzegu odbijały się w wodzie. Sauna nie była zamknięta. Znalazły się nawet zapalki i nieco soli na ściennej półce. Pod ścianą leżały polana i gałęzie przygotowane do rozpalenia ognia, zdarzało się bowiem, że nocowali tutaj z daleka przybyli turyści. Teraz sauna była pusta i widać było, że od dawna nikt do niej nie zaglądał.

Na polanie przed sauną czuło się jeszcze upał letniego dnia. Praca była skończona. Wykruszone przy noszeniu naręczy żdźbła traw i ziół przylepiły się do nagrzanego słońcem, spoczonej skóry i laskotały ciało.

Aaltonen przyklęknął na brzegu jeziora i czystą wodą polewał sobie głowę i ramiona. Zdziwiło go to, że woda była lodowata. Widocznie były tu gdzieś tajemne skalne źródła.

– Czy umiesz pływać? – spytała kobieta patrząc na niego z uśmiechem. Uśmiechała się teraz często do niego tym swoim ciepłym i czułym uśmiechem, który działał na niego obezwładniająco.

Pochylił czoło i przecząco poruszył głową. Nie umiał pływać i zawsze go to zawstydzalo.

Kobieta spojrzała na niego poważnie. Zmarszczywszy nieco brwi i zmrużywszy oczy, założyła ręce do tyłu i powiedziała:

– Pójdę teraz popływać.

Zaraz też zniknęła za sauną, aby się rozebrać. Po chwili zdziwiony Aaltonen ujrzał ją, jak rozchylając gałęzie krzaków rosnących opodal, naga wskoczyła do wody. Odwrócił głowę udając, że patrzy w innym kierunku. Słyszał plusk wody odgarnianej ramieniem płynącej. Po chwili krzaki na brzegu znowu zaszeleściły i kobieta stanęła przed nim już ubrana, z mokrymi, zwiniętymi nad karkiem włosami. Usiadłszy u jego kolan, patrzyła nań niebieskimi, błyszczącymi oczyma.

– Och, ty, ty – rzekła cicho, pochyliwszy głowę.

Włosy rozsypały się jej na ramiona. Ręka lekko głaskała gołe plecy mężczyzny. Aaltonen zadrżał, ale siedział nadal nieporuszony, z rękami opartymi o kolana, i patrzył na rozświetlone luną zachodu niebo nad lasem. Nie znana dotąd błogość ogarnęła go ciepłą falą. Wreszcie kobieta podniosła się lekko i wzięwszy koszyk z jedzeniem, zajęła się przygotowaniem posiłku.

Kiedy kończyli skromną wieczerzę, zmrok już zapadał nad drzewami i ostatnie promienie zachodzącego słońca zniknęły z powierzchni jeziora.

Wieczór był ciepły. Siedzieli w milczeniu obok siebie, oparci o ścianę sauny, czując wzajemnie swą błogosławioną obecność. Siedzieli długo. Z rzadka padające słowa już dawno przebrzmiały, kobieta umilkła zupełnie, i choć uśmiech zniknął z jej twarzy, jaśniała ona nadal życiem. Zaciśnięte dawniej wargi rozchylały się miękko.

Aaltonen podniósł się ciężko i wyciągnąwszy nóż z za pasa, zabrał się do ścinania gałęzi. Ułożył je równo na podłodze w saunie i nakrywszy kapotą przygotował posłanie dla kobiety. A ona stała na progu i opierając się o drzwi patrzyła z roztargnieniem gdzieś w

przestrzeń. Wokół nich rozpościerała się nieruchoma, cicha ziemia. W nieprzerwanej ciszy tego wieczoru kobieta starała się wyrzucić z siebie całą przeszłość, wszystkie troski i złe doświadczenia.

Kiedy jednak wyciągnięta na posłaniu ze świeżych gałęzi poczuła lekkie dotknięcie dłoni mężczyzny, znowu, ogarnęła ją straszna, lodowata sztywność. Ogarnęła jej ciało zabijając całą radość i szczęście. Z ust jej mimo woli wyrwało się ciche westchnienie. Mężczyzna odsunął się. Po długiej chwili ręka mężczyzny znów powróciła do niej, gładząc łagodnie jej policzki, czoło i włosy. Była to duża, twarda i spracowana dłoń, ale jej dotknięcie było niewypowiedzianie delikatne, ciepłe i błogie. Obca, dobra ręka gładziła w ciemności jej szyję i plecy. Ręka, która była jej droga, która przynosiła szczęście. Krew zaczęła tętnić w jej żyłach. Wyciągnęła ramiona i mocno objęła nimi szyję mężczyzny. Biło od nich ciepło i życie. Kiedy twarda dłoń mężczyzny dotknęła jej piersi, jej martwych dawniej i zimnych piersi, znowu wyrwało się z jej ust westchnienie. Było to westchnienie wielkiego wyzwolenia i obezwładniającej rozkoszy. Piersi jej nabrzmiały, pełne i piękne tętniły życiem, ręka bezwiednie objęła mocniej ramię mężczyzny, jak gdyby pragnąc zatrzymać je przy sobie na zawsze.

Niewypowiedzianie czule i delikatnie mężczyzna wszedł w jej ciało niosąc nieoczekiwaną, nigdy dotąd nie zaznaną rozkosz. Ciężar jego dużego ciała był dla niej błogi, dotyk jego twardych warg niósł słodycz. Ziemia kołysała się pod nią, omdlała niemal czuła, jak otaczający świat wiruje. Kiedy poczuła go w sobie, kiedy z łagodną tkliwością pojął ją w ciemności, źrenice jej rozszerzyły się, a usta rozchyliły miękko. Z głębi jej piersi, z samego dna duszy wyrwał się szloch i śmiech zarazem. Ogarnęło ją uczucie dzikiego szczęścia. Ręce zacisnęły się mocniej na plecach mężczyzny. Wiedziała na pewno, że po tej chwili szczęścia nigdy, nigdy już nie będzie się bała śmierci.

Kiedy obudziła się ze snu późnym rankiem, ciepłe promienie słońca ogrzewały wyziębłą podczas nocy saunę. Zbudziła się ze świadomością, że przeżyła coś, co niewielu ludziom jest przeznaczone. Życie ludzkie jest krótkie i marne, wiedziała o tym dobrze, wiedziała też, że jej cierpienia i troski nie skończyły się, że teraz zaczną się nowe. Czuła jednak z radosną dumą, że nie było ceny, którą zawahałaby się zapłacić za przeżyta chwilę upojenia, że nie istnieje przeszkoda, której dla tego szczęścia nie byłaby zdolna pokonać.

Mężczyzna spał jeszcze obok niej, oddychał równo, podłożywszy pod głowę spracowaną rękę. W porannym świetle ostro rysował się kształt jego mocnego podbródka. Powieki przykrywały jego poważne, myślące oczy, pod którymi w jasnym blasku dnia wyraźnie rysowały się drobne zmarszczki. Odpięta kuszula ukazywała naga, szeroką pierś, unoszoną miarowym oddechem. Należał do niej. Bliski i kochany, choć tak niedawno jeszcze obcy. Prosty parobek, najemnik, który niczego nie posiadał, który pracował dla niej, na jej ziemi po to, aby bydło miało pożywienie, aby starczyło go także dla konia i świń, aby nikt nie zaznał głodu. Kręta polna droga przywiodła go jej o zmierzchu wiosennego dnia i droga ta nigdy, przenigdy nie może go jej odebrać. Ziemia należała teraz także do niego, zasłużył na to swą ciężką pracą, swoją niestrudzoną o nią troską, zasłużył nie według praw ludzkich, lecz według odwiecznych i sprawiedliwych praw ziemi. Nigdy, przenigdy nie może stąd odejść.

Kobieta nie bała się pracy. W ciężkim znoju poprzednich szarych, jednostajnych dni chciała utopić w niej swe cierpienia, gorycz i ból. Teraz pracowała z radością, z uśmiechem, który ostatnio tak często gościł na jej twarzy. Pokornie godziła się znosić wszystkie niepowodzenia, kaprysy ziemi, nieurodzaj i zmarnowany trud. O wiele więcej już zniosła jej harda i zacięta dusza. Nieubłagana ziemia przynosiła najbliższym, pracującym na niej, przedwczesną starość i brzydotę. Ale ona nie bała się ani starości, ani brzydoty, kiedy ten mężczyzna był przy niej. Gotowa była rodzić

mu dzieci, nie bojąc się nikogo i niczego, jeśli taki los był im przeznaczony.

Tak marzyła leżąc w obcej saunie, na posłaniu ze świeżych gałęzi, obok śpiącego mężczyzny. Spojrzenie jej stało się twarde i surowe, kiedy uprzytomniła sobie, że przyszłość nie zależy od niej. Mężczyzna przybył do jej domu pewnego pamiętnego dnia o zmierzchu. Los tak zrządził, i nikt nie mógł przewidzieć, jak dalej potoczy się życie. Ziemia zwodniczo chwiała się pod stopami, przyszłość była niewiadomą, ciemną otchłanią. Kobieta dobrze wiedziała, jak drogo płaciła w życiu za każdą chwilę radości. Z lękiem myślała o tym, że nie ma ceny, którą mogłaby okupić przeżyte teraz chwile szczęścia. Spragnionej przytknięto do ust kielich źródlanej wody, a ona piła ją chciwie, bojąc się, że zostanie jej okrutnie i bezlitośnie odebrany.

Los uczynił ją samotną, odsunął od innych ludzi. W rozżaleniu walczyła z losem, bo własne zmarnowane życie wydawało jej się większym rozczarowaniem niż te, które spotykają innych ludzi. Teraz znów doznane szczęście wydało jej się olbrzymie w porównaniu ze szczęściem przeżywanym przez innych. Tylko wybrani mogli doświadczyć tak pełnego, bezgranicznego szczęścia. Odsunęła od siebie wszelkie obawy. Od tej chwili pragnęła w pełni przeżywać dane jej chwile radości i upojenia, ponieważ każda z nich mogła być już ostatnią.

Rozchylając usta w łagodnym uśmiechu, popatrzyła na śpiącego obok mężczyznę. Ostrożnie i lekko położyła dłoń na jego odkrytej piersi. Jej wąska, zniszczona ręka miękko głaskała opaloną skórę, aż zatrzymała się w miejscu, gdzie czuła miarowe i spokojne uderzenia jego serca. Pod tym delikatnym dotknięciem serce mężczyzny jak gdyby na chwilę zatrzymało się i zaraz zabiło mocniej. Pochyliła wtedy uśmiechniętą twarz i zobaczyła, jak budzi się ze snu. Nie, nie odszedł od niej, był nadal blisko. Łagodnym uśmiechem odpowiedziała na jego spojrzenie.

Oczy ich spotkały się w chwili, kiedy mężczyzna budził się z głębokiego snu, a kobieta wzięła delikatnie w swej dłoni jego mocno uderzające, żywe serce.

9

Podczas pogodnych letnich dni stary Herman przechadzał się po obejściu i po polach. Jakby żegnał dobrze sobie znane kąty, łąki, porośnięte chwastem rowy, których nie miał już sił wyplewić z zielska.

Tu i ówdzie zauważył zmiany na lepsze. Niewiele jednak mógł dokonać podczas krótkiej wiosny i znojnego lata jedyny w tym gospodarstwie mężczyzna, choć pracował od świtu do późnej nocy. Ujścia rowów odprowadzających wodę z pól oczyszczone jednak były z chwastów, na dachach zabudowań jaśniały miejsca pokryte nową dachówką, zawiasy w drzwiach zostały naprawione, a stara ziemia jak gdyby dziwiła się, że całą ją uprawiono i obsiano. Łany gęstego owsa falowały nie opodal jeziora, zielone liście roślin paszowych wróżyły, że krowy będą dawały w zimie dużo tłustego mleka. Chlew powiększono, w jesieni bowiem kobieta chciała dokupić prosiąt.

Szare, wyblakłe oczy starego człowieka obejmowały spojrzeniem umiłowaną ziemię i szeroko nad nią rozpostarte niebo. Podczas tych wędrówek zatrzymywał się często, aby zaczerpnąć tchu, i opierając się o biały pień brzozy gładził ręką połyskliwą korę. Zamyślony dotykał także znajomych głazów i skał, zastanawiając się, czy nadejdzie czas, kiedy z woli człowieka zostaną stąd usunięte. Stare, zmęczone serce biło z wysiłkiem w jego piersi. Żegnał się z ziemią, której był niegdyś gospodarzem i której już nie miał sił uprawiać. Nie smuciło go to już teraz, obojętne było, kto na niej gospodaruje, byle tylko ktoś pracował na tej ziemi, byle tylko pola nie zmieniły się w zielskiem porośnięte ugory.

Oczy jego zauważały teraz wiele rzeczy, których nie dostrzegłyby dawniej. Teraz widział wszystko wyraźniej, teraz, kiedy

zbliżająca się jesień niosła być może z sobą słoneczny dzień jego śmierci.

Pisklęta w gniazdach podrosły już i same zaczynały fruwać, krety pracowicie ryły ziemię wznosząc tu i ówdzie niewielkie kopczyki, nieznany wędkarz w niewielkiej łódce płynął rzeką w stronę wsi. Stary Herman zauważył także, jak pod wpływem promieni słońca i księżyca z przekwitających kwiatów tworzą się zawiązki i owoce, jak w ostępach leśnych zwierzęta szukają sobie pary, jak z podziemnych źródeł biją wody, jak niestrudzone mrówki dźwigają żdźbła na budowę kopca.

Widział także nagie, lśniące w słońcu plecy mężczyzny okopującego ziemniaki i nie opodał z podwiniętymi rękawami pracującą kobietę. I ich także dobrze widział stary Herman swymi z dniem każdym bardziej wyblakłymi oczyma. Uśmiech zagościł w tym domu. Uśmiech, którego brakowało mu w ciągu całego długiego życia. Pojawił się dopiero, kiedy zbliżało się ono ku końcowi. Nie czuł z tego powodu goryczy i żalu. Uśmiech ten teraz właśnie, kiedy wyraźnie czuł przed sobą jasną chwilę śmierci, rozpogadzał mu jak słońce każdy dzień. Przez wszystkie lata swego życia był dla siebie twardym i surowym człowiekiem; dziś był jak obumarłe ziarno. Dane mu jeszcze było spożyć chleb pański; usta jego wypily wino wiecznego żywota, i to mu wystarczało.

Często myślał teraz o swoim wuju Joose, którego przywaliło drzewo, kiedy poszedł po konia na pastwisko. Dobrze mu chyba było umierać na zielonej łące, kiedy obok stał koń, wierny przyjaciel i patrzył ze zdziwieniem na stygnące, znieruchomiałe ciało. Nigdy przedtem nie rozumiał tego tak dobrze jak teraz, kiedy z pól dochodziły odgłosy żniw, kiedy przybysze ze wsi coraz rzadziej odwiedzali dom, kiedy wozy pełne zboża zajeżdżały do stodoły, kiedy spichlerz wypełniał się nowym złotym ziarnem.

Dom teraz był całymi dniami pusty i cichy. Dochodzący z podwórka warkot motoru młockarni budził mieszkającego w izbie za

kuchnią mężczyzną. Stał się on znowu niespokojny. W ciągu dnia wymykał się na podwórko i do lasu, w nocy często krzyczał dziko przez sen, budząc domowników. Krzyk ten napawał kobietę ogromnym, odrętwiającym przerażeniem.

Wysiadywał coraz częściej na podwórku, patrząc ponuro w stronę wsi. Czasami starał się zadbać o siebie, golił się i wkładał czystą koszulę. Usiłował także nawiązać rozmowę ze starym Hermanem i własną żoną. Przekonany o tym, że słowa jego brzmią rozsądnie mówił wiele, używając wyszukanych zwrotów. Snuł plany rozwoju gospodarstwa, kiedy spostrzegł, że tegoroczne plony zapewnią im na to środki. Znowu mówił o sprzedaży lasu, opowiadał, że chodząc po lesie naliczył wiele drzew, za które można wziąć dobrą cenę. Kiedy zauważał, że nikt go nie słucha i nie ma zamiaru mu odpowiadać, przerywał i zaczynał kląć i złorzeczyć, rzucając wkoło rozwścieczone spojrzenia.

Aaltonena unikał. Ten prosty i mocny człowiek spoliczkował go wtrącając się do spraw, które nie powinny były obchodzić parobka. Bezsilna wściekłość ogarniała go zawsze na widok tego hardego, silnego mężczyzny. Nienawiść mąciła mu myśli przyprawiając o ból głowy. Pod jej wpływem snuł marzenia o krwawej zemście, bo w wyobraźni nie bał się takich scen, choć w życiu doprowadzały go one do mdłości.

W tym domu był już tylko cieniem, złym, przygnębiającym, ale tylko cieniem bez znaczenia. Kobieta patrzyła w jego stronę kamiennym spojrzeniem, nie widząc go wcale, nie słyszała też jego słów ani narzekań. Szykowano mu codziennie strawę jak zwierzęciu i pozostawiano samemu sobie. Kobieta nie wchodziła już do jego izby, nie sprzątała jej. Kiedy wreszcie brud i zaduch stały się nie do wytrzymania, sam zabrał się do zrobienia porządku.

Ze łzami rozżalenia w oczach, litując się nad samym sobą, niewprawnie zmywał brudną podłogę i wynosił na dwór cuchnące materace i pościel. Czasem to odosobnienie, to, że nikt już nie

zwracał na niego uwagi, wprowadzało go w stan panicznego lęku, zdawało mu się bowiem, że przestał istnieć. Dotykał wówczas miękką ręką twarzy, ust i drżącej brody, przecierał oczy, aby uwierzyć, że jeszcze żyje. Jeszcze bardziej w takich chwilach rozżalał się nad własnym nędznym losem, nad poniżeniem i niewolniczym życiem u boku zimnej kobiety i w obecności bezlitosnych, surowych mężczyzn.

Był coraz bardziej niespokojny. Spał źle. Głośno narzekał, stękał i jęczał wylegując się do późnych godzin porannych. Ciągłe rozmyślał nad tym, co można by łatwo wynieść z domu i sprzedać. Tęsknił do życia w mieście, do jasno oświetlonych sal restauracyjnych, do zgiętych w służalczym ukłonie kelnerów. Wystarczyłaby mu nawet brudna, zadymiona piwiarnia. Wydawało mu się, że słyszy gwar rozmów mieszających się z ochryplym głosem gramofonu, że widzi jaskrawo wymalowane dziewczyny z czerwonymi ustami i uczernionymi brwiami. Czuł nawet smak piwa na wargach.

Niestety, wszystkie szuflady były teraz przed nim pozamykane i nie udało mu się wysledzić, gdzie kobieta przechowywała pieniądze, a wiedział na pewno, że musiały być teraz w domu. Marzył o tym, aby po kryjomu przemycić butelkę wódki, wypiłby ją w nocy i może udałoby mu się nakłonić natrętnymi szeptami kobietę do otworzenia drzwi. Jakże był biedny – użalał się nad sobą, nie stać go było nawet na butelkę wódki. Nigdy dawniej nie uwierzyłby, że na to mu przyjdzie. Dlaczego był tak biedny, dlaczego wszystko sprzysięgało się przeciw niemu? Inni pili, zaciągali długi, oszukiwali się wzajemnie i nie ponosili za to żadnych cierpień.

Pewnej nocy zbudził go ze snu cichy, radosny śmiech. Dobiegał on w ciemności do jego nasłuchujących uważnie uszu skądś z daleka. Był to dziwny śmiech, takiego nigdy dotąd w życiu nie słyszał. Nie mógł tego pojąć. Usiadł na posłaniu i wyteżył słuch. Często w nocy, kiedy czuł się szczególnie odosobniony, zmysły jego

odbierały wrażenia z chorobliwym wyczuleniem. Teraz, gdy zbudził się, myślał nawet, że śni jeszcze, często bowiem na granicy snu i jawy słyszał jakieś rozmowy, przekleństwa, nieprzyzwoitości i śmiechy. Po chwili ogarnęło go niejasne podejrzenie. I choć śmiech zgasł gdzieś daleko w ciemnościach, nadal dzwonił mu w uszach. To kobieta śmiała się w nocy. Nagle straszny dreszcz przebiegł mu po krzyżu, zląkł się, że oszalała. Rzucił się do drzwi, szarpnął klamką, ale drzwi były mocno zamknięte na klucz. Wtedy zapukał, ale z sąsiedniej izby nie dochodził najmniejszy nawet szelest. Kobiety w izbie nie było. Znowu zwątpił, czy śmiech ten słyszał na jawie, czy we śnie, ale kiedy nazajutrz zbudził się, pamiętał o nim ciągle i zobaczywszy wracającą z udoju kobietę, zapytał:

– Czy to ty śmiałaś się dziś w nocy?

Kobieta zdawała się nie słyszeć jego słów, nic nie odpowiedziała. Zauważył jednak z radosnym podnieceniem, że po raz pierwszy od dłuższego czasu jego słowa zrobiły na niej wrażenie. Obrzuciwszy ją rozbieranym spojrzeniem zauważył, że policzki jej pobladły pod świeżą opalenizną. Ożywiło go to niezmiernie, śliniąc się chciał mówić dalej, ale zamilkł pod jej bezlitosnym spojrzeniem. Zbladł ze strachu i patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Spojrzenie kobiety było tak straszne, dzikie i okrutne, jakby chciała go nim zabić.

Wyszedł szybko na podwórkę za swoją potrzebą i przez długi czas bał się powrócić do domu. Aaltonen przyjechał właśnie z mleczarni i przed stajnią wyprzeżał konia. Mężczyzna obserwował go z ukrycia. Działo się tutaj coś takiego, czego nie mógł zrozumieć.

W sobotę wieczorem mężczyzna gdzieś zniknął. Nie było go w izbie za kuchnią, nie było na podwórku i w całym obejściu. Ani Aaltonen, ani Herman nie widzieli, jak wychodził. Pieniądze leżały nie naruszone w schowku, nic także nie zginęło w domu. Wreszcie stary Herman przypomniał sobie, że idąc do sauny zostawił kamizelkę na krześle w kuchni. W kieszeni była portmonetka. Zaklął

cicho, kiedy spostrzegł jej brak. Aaltonen popatrzył na starego znacząco.

– Nie było tam nawet dwudziestu marek – rzekł stary Herman – z takimi pieniędzmi daleko nie zajdzie.

Podczas żniw, w sobotnie wieczory łatwo było we wsi dostać wódkę. Mężczyzna przemykał się do wsi boczną drogą, przez las. Nie miał odwagi wstąpić do gospodarzy, którzy choć sami na pewno pili, nie daliby mu wódki. Liczył tylko na parobków, którzy zwykle w sobotę po pracy schodzili się przy moście lub na skrzyżowaniu dróg poza wsią. Tam właśnie spotkał kilku wyrostków, którzy rozpytywali, czy jest gdzieś w pobliżu zabawa. Obok w piaszczystym dole siedziało kilku starszych nieco mężczyzn wynajmujących się na dniówkę, żołnierz, który przyjechał do wsi na urlop, oraz dwóch parobków z sąsiednich gospodarstw.

Mężczyzna podszedł do nich, przysiadł obok na ciepłym piasku i chciwie patrzył na krążącą wśród nich butelkę, wypełnioną przezroczystym płynem.

– Sprzedajcie mi trochę wódki – rzekł wyciągając drżącą dłonią pieniądze z portmonetki Hermana.

– Nie, do cholery, nie można mu dawać wódki – odezwał się jeden z parobków, patrząc ze złością na przybysza.

Inni także odwrócili się od niego niechętnie, ale młody wojskowy, zgarnawszy pieniądze, podał mu butelkę, była bowiem jego.

Mężczyzna pił chciwie, choć wielkie hausty alkoholu zatykały mu gardło i oddech. Żołnierz patrzył na niego ze zdziwieniem, wreszcie wyrwał mu butelkę.

– Łakomy jak świnia – powiedział z obrzydzeniem.

Nie obraziło to wcale pijaka, nadal siedział obok na ciepłym piasku i czuł już w całym ciele ożywcze działanie mocnego trunku.

Rozmawiali nie zwracając na niego uwagi, opowiadali o wojsku, życiu w koszarach, o ostatnich wydarzeniach we wsi, o tym, co się gdzie komu urodziło. Mężczyzna słuchał i patrzył, jak wolno pociągają z krążącej wciąż butelki.

– Dajcie mi jeszcze trochę – odważył się odezwać, kiedy znowu ogarnęła go przemożna chęć picia. Zacisnął pięści, w brzuchu mu burczało.

– Trzeba się go pozbyć, niech idzie do domu, ciekawe, jak się stamtąd wydostał – odezwał się jeden z parobków.

– Kto to właściwie jest? – zapytał żołnierz.

Nie zwracając uwagi na obecność mężczyzny, pozostali zaczęli opowiadać to, co o nim wiedzieli, nie oszczędzając go wcale. Bezsilna złość ogarnęła słuchającego tego wszystkiego pijaka, zgrzytał zębami, ale żądza picia była silniejsza od resztek godności.

– Dobrzy ludzie, dajcie mi, u licha, jeszcze łyk! Tylko raz pociągnąć... dam wam kapotę albo buty – mówił żebrzącym tonem. – To są dobre, porządne buty – i rzekłszy to zaczął zdejmować z nóg trzewiki, chcąc pokazać je zebranym.

Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Żołnierz kopnął nogą suchy koński nawóz leżący obok na piasku i odezwał się nagle:

– Jak zjesz to łajno, to dam ci się napić.

Mężczyzna potoczył wokoło niepewnym, zdumionym wzrokiem jakby szukając pomocy, ale reszta towarzystwa spodziewając się dobrej zabawy, z zaciekawieniem przyglądała się tylko tej scenie. Serce przestało mu bić na chwilę, ale zaraz potem ze łzami wstrętu w oczach chwycił suche łajno i wsadził je sobie do gęby.

Tym razem nikt go nie szukał. Powrócił do domu następnego dnia sam, w wyświechtanym ubraniu, z zaczerwienionymi oczyma, cały pokryty sińcami i guzami. Nikt zdawał się nie zauważać jego przybycia. Kobieta nie spojrzała nawet w jego stronę. Zamknęła

tylko za nim drzwi izby. Rzuciwszy się na łóżko zaczął głośno jęczeć i stękać, znów usiłując wzbudzić litość.

Po kilku dniach potrzeba picia wywołała w nim nowy niepokój. Oczy jego stały się rozbiegane i rzucały spojrzenia pełne bezsilnej złości. Zbyt mała ilość wypitego w sobotę alkoholu rozbudziła niezaspokojoną żądzę, która paliła wnętrzności i wraz z krwią krążyła w żyłach. Teraz jednak zajął się czymś nowym. Kiedy pewnego dnia pogrążony w gnuśnym lenistwie drzemał, miał sen, który na długo pozostał w jego pamięci. Ciągłe o nim myślał, nie mogąc zrozumieć jego znaczenia. We śnie tym widział znany sobie głęboki dół, który znajdował się pod lasem, za stodołą obok wysokiej jarzębiny. Teraz nie używano go, ale dawniej przechowywano w nim ziemniaki. Wysoki mężczyzna w szarym, przepasanym rzemieniem baranym kożuchu zaprowadził go we śnie do tego dołu i pokazał go ręką. Był to tak ogromny i straszny człowiek, że obudził się ze snu z bełkotem przerażenia. To senne przeżycie nie dawało mu spokoju. Wychodząc na dwór mimo woli kierował swe kroki do wskazanego we śnie miejsca. Stała tam smukła jarzębina, na której gałęziach zaczynały czerwienić się korale. Przykrycie dołu dawno już zapadło się i w szparach pomiędzy deskami i słomą gnieździły się jaszczurki. Kopnął parę razy w zbutwiałe deski. Z dołu uniósł się nieprzyjemny zapach stęchlizny. Odszedł zniechęcony. Sen jednak wciąż nie dawał mu spokoju.

Nazajutrz, zabrawszy ze sobą widły i łopatę, zaczął rozgrzebywać starą jamę. Nikt nie zwracał uwagi na jego dziwne zajęcia, bo rozpoczął się właśnie zbiór owsa, i wszyscy potrzebni byli w polu.

Mężczyzna odrzucił najpierw przegniłe deski, wzdrygając się ze wstrętem na widok uciekających jaszczurek. Zabrał się potem do usuwania drewnianych pali, którymi wyłożone były ściany dołu. Pracował z zapalem, choć zapach stęchlizny budził w nim wstręt. Słabe i nie zaprawione do żadnego wysiłku ciało oblewał pot, ręce

trzymające trzon łopaty drżały. Znudził się wreszcie tą robotą i rzucił wszystko, nie uprzątając nawet narzędzi. Ale korciło go to jednak od nowa. Po południu, kiedy dom był pusty, bo wszyscy pracowali w polu, znowu poszedł w to samo miejsce i zaczął grzebać na dnie dołu.

Wreszcie pod cienką warstwą ziemi natrafił na kawałek sztywnego szarego płótna. Pociągnął za nie i spostrzegł, że jest w nie owinięty jakiś ciężki przedmiot. Trzęsącymi się z podniecenia rękami odwinął pakunek i ujrzał w poplamionej tłuszczem szmacie stary rosyjski karabin i kilka skórzanych futerałów z nabojami. Lufa i cyngiel były grubo pokryte oliwą, która uchroniła je przed rdzą. Mężczyzna ukrył starannie znalezioną broń pod wygrzebane z dołu deski i resztki słomy i cichcem odniósł do szopy narzędzia. Drżał z zadowolenia. Znalazł wreszcie coś, co dawało mu przewagę nad resztą mieszkańców tego domu. Świadomość ta napawała go złośliwą radością, na blade policzki wystąpiły rumieńce podniecenia.

Początkowo rozmyślał o sprzedaniu karabinu, ale szybko z tego zrezygnował. Prawdopodobnie karabin został ukryty w czasie pierwszej wojny przez jakiegoś uciekającego z frontu żołnierza. Nie mógłby sprzedać tak starej broni. Nie znał dokładnie dziejów tego domu. Broń mógł ukryć nawet ktoś z dawnych jego mieszkańców. A może, kto wie, w tamtych odległych czasach rozstrzelano kogoś nie opodal tego dołu i ostatnia, mściwa myśl umierającego znalazła odbicie w jego dziwnym śnie.

Rozmyślając nad pochodzeniem tego znaleziska zapomniiał nawet o poprzednim rozdrażnieniu. Zastanawiał się, gdzie mógłby spokojnie wypróbować broń. Znał się na niej, dawniej, jeszcze przed ślubem, często brał udział w polowaniach, udało mu się nawet zabić kilka zajęcy i trochę ptactwa. Może i teraz, w jesieni, mógłby poprobować swych sił w pobliskich, wielkich lasach.

Z zachodzącymi mgłą oczyma, śliniąc się, marzył o tym, by upolować jelenia, chociaż wiedział, że zdobycz musiałaby zostać i

zgnić w lesie. Drżał cały z radości na myśl o tym, jak kula przeszywa gładką skórę zwierzęcia i jak w śmiertelnych drgawkach sztywnieją cienkie pęciny.

Postanowił wreszcie ukryć broń pod stodołą, do której mógł dojść niepostrzeżenie przez pobliskie skały. Oczyszczył starannie karabin z niewielkiej rdzy, która gdzieniegdzie osiadła. Lufa lśniła jak nowa. Owinąwszy broń w starą, przesyconą tłuszczem szmatę ukrył ją w stosie zniszczonego żelastwa za stodołą.

Czuł się teraz silniejszy, w oczach pojawił mu się wyraz pewnej stanowczości. Kobieta jednak nie zauważyła w nim żadnej zmiany. Życie było teraz dla niej radosne, chciała więc przeżyć bez reszty swe szczęście. W ciągu ostatnich tygodni ciało jej rozkwitło, wypiękniała tak bardzo, że samą ją to dziwiło.

Zbiory były dobre, paszy dużo, można więc było powiększyć trzodę. Chleba na okres zimy wystarczy dla wszystkich. W przyszłym roku trzeba będzie zatrudnić jeszcze kogoś do pomocy w polu, ale na razie kobieta nie chciała nikogo obcego w domu, nie chciała ciekawych spojrzeń, które zakłóciłyby jej spokój. Noce stały się teraz dłuższe, ciemną czerwienią lśniły korale jarzębiny, ze wsi dochodziło szczekanie psów.

Nadeszły chmurne i wietrzne dni, łąki opustoszały, drzewa pożółkły, a wiatr na podwórku szeleścił suchymi, opadłymi liśćmi. Aż zdarzył się cichy, jesienny dzień, szare pola pojaśniały pod pogodnym błękitem, a dym z kominów wznosił się prosto ku niebu w rześwym, przejrzystym powietrzu. Wrony gromadnie zbierały się na opustoszałych polach, z oddali słychać było głosy nawołujących się do odlotu ptaków. Tego dnia wieczorem, wracając z pola, przystanęli na podwórku: stary Herman, Aaltonen i kobieta, która nie wstydząc się, ufnie oparła dłoń na ramieniu mężczyzny. Zatrzymali się, aby popatrzeć przez chwilę na łąki i niebo, na leżącą w dole wieś i rzekę wijącą się wśród pól. Czuli spokojną radość i zadowolenie, które zazwyczaj ogarnia gospodarzy, kiedy trud ich przynosi dobre plony.

Kobietę opuściła na chwilę troska o niewiadomą przyszłość i serce jej przepełniło się zwodniczym poczuciem pewności: może tak będzie zawsze, bo tak jest dobrze i tak być powinno. Wiedziała już o tym, że nosi w łonie nowe życie, poczęte owej pamiętnej nocy letniej. Jej ciało, długo gnębione i poniżane, pod dotknięciem dobrej mocnej ręki ukochanego mężczyzny tętniło nowym życiem. Chociaż była to zgrubiała od pracy ręka prostego człowieka, dobrze było przytulić do niej policzki w chwilach wieczornego odpoczynku i zapomnieć o całej przeszłości, o złudnych światłach miasta, o pustych słowach czerpanych z książek, o życiu pełnym pośpiechu i podniecenia. Zdawało się jej, że wszystko to sama oddzieliła, jak wiatr oddziela plewy od zdrowego ziarna. Radość żyła w jej rozkwitłym ciele, które było jak urodzajna gleba, nosząca w sobie żywe ziarno zasiane przez mężczyznę. Na niebie gasły purpurowe zorze zachodzącego słońca. Nadchodziła spokojna, chłodna, jesienna noc. Kobieta uśmiechnęła się. Zdjęła rękę z ramienia mężczyzny przypomniałszy sobie, że czeka ją jeszcze robota. Idąc w stronę obory spostrzegła unoszące się znad czarnego jeziora białe opary. Przypomniała sobie nagle chwilę, kiedy przybyła do tego domu. Wtedy też była jesień, tylko dzień dżdżysty i szary, stary Herman prowadził do studni białą kobyłę; czarne, połyskujące pomiędzy skałami jezioro wzbudziło w niej grozę. Zadrżała wówczas pod wpływem wstrząsającego przeczucia. Wydawało jej się, że kiedyś przeżyła podobną chwilę, w podobnej okolicy; w taki sam smutny, jesienny dzień pojono przy studni białego konia, a w dali błyszczało czarne jezioro. Przygnębiona, nie odczuwała wtedy zbawiennej bliskości przyrody, była smutna i upokorzona. Przybyła tutaj spodziewając się najgorszego losu. Nie przeczuwała, że miejsce to stanie się dla niej najbliższe na ziemi, że tutaj przeżyje szczęście i radość poczęcia. Pod wpływem tamtego wspomnienia uśmiech zgasł teraz na jej twarzy. Poczuli się bezradni jak wówczas. Przyszłość była nieznana, zamknięta między ziemią, niebem i czarną wodą. Zdawało się jej, że chłód wiejący od jeziora ogarnął całe podwórko. Wstrząsnął nią zimny dreszcz. Pochyliwszy się chwyciła wiadro i weszła do obory. Tu było ciepło. Kiedy po

pewnym czasie powróciła do izby i zapaliła światło, twarz jej znów jaśniała ciepłym uśmiechem radości.

Pewnego ciemnego wieczoru, kiedy ziemia za oknem odpoczywała pogrążona w jesiennej melancholii, a z pochmurnego nieba siąpił drobny, gęsty deszcz, w izbie przy stole, z pochylonymi głowami, siedzieli blisko siebie Aaltonen i kobieta. Robili rachunki na przyszły rok. Kobieta rozłożyła papiery, wyciągnęła ołówek, przed sobą trzymała książkę z kwitami i splatami pożyczki. Aaltonen uważnie przeglądał rachunki, czuł się za nie odpowiedzialny, bo kobieta na tym nie znała się dobrze. Sam też mógł się kierować tylko zdrowym rozsądkiem, który mówił, że źle jest, kiedy są długi, dobrze zaś, kiedy w domu pozostają zaoszczędzone pieniądze. Trzymając przed sobą kalendarz rolniczy i wycięty z gazety cennik, obliczali, ile będzie można z tegorocznych zbiorów przeznaczyć na sprzedaż, ile ziarna należy zostawić na potrzeby domu, ile na przyszłoroczne zasiewy. Kupiono już czworo prosiąt, Aaltonen dobijał we wsi targu o krowę, która miała się ocielić w listopadzie. Mieli także zamiar kupić na wiosnę nowego konia, bo biała kobyła była już bardzo spracowana i stara.

Należało także zapłacić podatki: państwowy, gminny, kościelny, zapłacić za elektryczność, kupić trochę odzieży i nowych narzędzi. Wydatków było dużo, kolumny cyfr zapełniały leżący przed nimi papier. Aaltonen zasępił się. Widząc to kobieta dotknęła ostrożnie dłonią jego ręki i gładząc delikatnie patrzyła na niego oczyma pełnymi blasku i łagodnego uśmiechu. Nie było teraz trosk ani kłopotów, nie było lęku przed biedą. Bez żalu skreślili z rachunków te zakupy, bez których mogli się obejść. W rezerwie pozostały jeszcze przecież pieniądze za sprzedaż drzewa na budowę i na opał. W gęstym lesie nie było widać ich braku.

– Drzewa zdatne na budowę musimy oszczędzać – odezwał się Aaltonen. – Za kilka lat trzeba będzie postawić nowe zabudowania – dodał po chwili.

Kobieta radośnie popatrzyła na niego. Słowa te były dla niej obietnicą szczęśliwej przyszłości. Niech będzie błogosławiona ścieżka, która przywiodła do jej domu tego mężczyznę. Nikt nie może go jej już odebrać. Ten mężczyzna, którego zesłał los, chciał budować przyszłość u jej boku.

Czując błogi spokój przypomniawszy sobie, że dawniej podobne jesienne wieczory pogrążały ją w tak głębokie przygnębienie, iż nawet śmierć nie wydawała się wybawieniem.

Teraz nie przeszkadzała jej jesienna szaruga, a ciemna noc za oknem przynosiła ukojenie. W izbie trzaskał wesoło ogień i unosił zapach suszącej się odzieży i zabrudzonych gliną chodaków.

– Na wiosnę musisz wziąć sobie do pomocy dziewczynę, żebyś za bardzo się nie męczyła, kiedy twój czas nadejdzie – odezwał się Aaltonen nieco drżącym głosem.

Popatrzyła na niego z miłością. Kiedy czuła przy sobie bliskość tego silnego mężczyzny, poważne spojrzenie jego oczu i dotyk mocnej dłoni, pierzchały wszystkie troski, i ufność napełniała jej serce. Było im dobrze ze sobą.

Nagle drzwi kuchni otworzyły się cicho i skradającymi się krokami wszedł do izby na wpół rozebrany mężczyzna. Pił wodę z czerpaka i świdrującym spojrzeniem śledził przez chwilę tych dwoje siedzących przy stole. Siedzieli blisko siebie nad dobrze mu znanymi książkami i papierami gospodarskimi. Dawniej w takiej chwili rozpocząłby rozmowę, ale teraz nie powiedział ani jednego słowa. Kobieta zdawała się nie zauważać nawet jego wejścia, tylko uśmiech zgasł na jej twarzy, a spojrzenie stało się posępne. Aaltonen nie podniósł głowy znad papierów, aby nie patrzeć na wroga. Krew odpłynęła mu z twarzy, pobladł i sprężył się w sobie.

Zobojętniały i gnuśny mężczyzna wziął z pieca zapalki i grzechocząc nimi wrócił do swej izby. Łzy litości nad sobą zjawily się w jego oczach. Znowu doznał uczucia wielkiego zadowolenia, że może uzalać się nad sobą. Tak oto siedzą sobie nad rachunkami, tak go oszukali, pozostawili chorego i nieszczęśliwego w nieogrzejnej, wilgotnej izbie. Zdradzili go, czuł to i wiedział o tym.

Od pewnego czasu widział i rozumiał wszystko. Był zdumiony, że żona jego mogła poczuć pociąg do mężczyzny; przecież sztywniała ze wstrętu, kiedy on próbował jej dotknąć. Uważał się za doświadczonego kochanka i nie siebie obwinał, że nie zdołał rozbudzić tej zimnej, obojętnej kobiety. Od dawna uważał żonę za hardą i twardą istotę, niezdolną do namiętności, i właśnie dlatego hańbienie jej i poniżanie sprawiało mu wielką rozkosz. Zauważył teraz, że rozkwitła, i czuł jednocześnie, że tym razem wykreśliła go całkowicie ze swego życia.

Śledził tych dwoje od jakiegoś czasu. W nocy wyteżał słuch łowiąc każdy najmniejszy nawet szmer w uspijonym domu. Do tego, co udało mu się usłyszeć, jego chora wyobraźnia dobudowała resztę. Wściekłość i zazdrość tak wstrząsnęły jego gnuśnym ciałem, że chwilowo zapomniał nawet o swych niepokojach i żądzy alkoholu.

Podczas długich, jesiennych nocy i szarych, deszczowych dni rozpatrywał różne możliwości zemsty, snuł plany, ale po namyśle każdy z nich odrzucał. Jedno tylko wiedział na pewno: zemsta była jego prawem. Prawem zdradzonego męża, nieszczęśliwego człowieka, poniżonego przez cały świat, przez własną żonę, a czasem nawet przez samego siebie.

Najtrudniejsze było to, że pierwszy raz w życiu musiał odważyć się na decydujący krok, musiał czegoś dokonać. Uważał, że jeśli ten człowiek pozostanie przy życiu, jego własne życie będzie w niebezpieczeństwie. Odczuł to wyraźnie, kiedy ten niezwykle silny chłop uniósł go jak psa za kark i wymierzył policzek. Nie chciał jednak dostać się do więzienia. Na samą myśl o tym drżał ze

strachu. Czytał kiedyś, że utarte na proszek szkło, wsypywane do jedzenia, może po jakimś czasie zabić człowieka nie pozostawiając żadnych śladów. Z wielką ochotą wypróbowałby ten sposób, ale nie miał okazji, bo kobieta sama przygotowywała jedzenie. Przeraziła go myśl, że dosypując szkło do mąki lub kaszy, sam może stać się ofiarą tego pomysłu. Poza tym nie dałoby mu to pełnej satysfakcji. Bardziej efektownie chciał zemścić się na swej złej i niewiernej żonie. Ona była wszystkiemu winna i zemsta powinna ją przede wszystkim dotknąć. Ona trzymała go w zamknięciu i traktowała jak zwierzę, ona uporem i brakiem wyrozumiałości zrujnowała mu życie. Należało zabić mężczyznę i przy jego trupie ją poniżyć i złamać, aby dowiedziała się, kto tu z tych trojga był najsilniejszy.

W swej wyobraźni widział już proces sądowy i wzmianki w gazetach. Było to bardzo emocjonujące i przynosiło mu zadowolenie. On, tak perfidnie oszukany, chory człowiek, zabił w szale zazdrości kochankę żony. Cała sprawa nabrałaby rozgłosu i rzuciła odpowiednie światło na tę wykształconą kobietę, która zabawiała się z parobkiem znęcając się nad mężem i uniemożliwiając mu życie na odpowiednim poziomie.

Snucie tych rozmyślań zadowalało jego chorobliwą potrzebę umacniania wiary we własne siły. Był chory i podczas choroby oczywiście dopuszczał się złych czynów. Chętnie się do tego przyzna. Ale przecież był człowiekiem, był mężczyzną o wrażliwej duszy i bogatym życiu wewnętrznym. Myślał nawet o samobójstwie w chwilach największego upokorzenia, ale jego wola, silna wola nie pozwoliła mu na to, jego charakter nie pozwalał poddać się złemu losowi. Aby wyzdrowieć, przeniósł się nawet na wieś i miał zamiar rozpocząć nowe życie. Poczył szereg fachowych, gospodarskich planów, których nie zrealizował z powodu złego, nieufnego charakteru żony. Kiedy spostrzegł, że ta kobieta, z którą złączył swoje życie i którą jeszcze pomimo wszystko kochał, zdradziła go z prostym parobkiem, że oszukała go haniebnie, nie wytrzymał i w szale gniewu zabił kochankę, który zniszczył jego małżeństwo.

Takie wyjaśnienia na pewno zrobiłyby wrażenie. Widział już siebie stojącego godnie w sądzie. Wyprostowany, patrząc prosto w oczy zebranych, powiedziałby wyraźnie, że gotów jest po męsku ponieść karę, ponieść wszelkie konsekwencje swego czynu. Na samą myśl o tym, jak opinia publiczna przychylnie zwraca się ku niemu, drżał z zadowolenia. Wreszcie spotkałby się ze zrozumieniem, którego do tej pory życie go pozbawiało.

Wymyślając sobie w duchu od tchórzów i głupców, żałował, że nie śledził uważnie treści swojego snu. Wielki, straszny mężczyzna wskazał mu przecież stary, dawno zapomniany dół i może byłby mu powiedział coś jeszcze. Idąc jego śladem znalazł wszak karabin, który owinięty w szmatę leżał teraz ukryty bezpiecznie pod stodołą, w kupie starego żelastwa. Schowek był dobry i chociaż stodoły używano teraz, suszono w niej ziarno, nikt jednak nie mógł domyślić się, co zostało ukryte pod jedną ze ścian.

Żeby tylko mógł wykrzesać z siebie dość woli i sił. Bał się bardzo. Bał się huku wystrzału, wiedział, że kolba karabinu mocno kopie w ramię, a strzał ogłusza. A cóż stałoby się, gdyby chybił i tylko poranił tego mocnego chłopca? Takiej możliwości nie śmiał nawet dopuścić. Wzdychał i jęczał przewracając się na swym barłogu i pocieszał się patrząc na wyblakłe i pobrudzone przez muchy nieprzyzwoite obrazki nad łóżkiem.

Za ścianą, w sieni, z otwartymi oczyma leżał stary Herman. Jego czas skrócił się. Nadeszły jesienne deszcze i wilgotne powietrze dusiło go, ledwie z wielkim wysiłkiem na chwilę zwlekał się z posłania, aby wyjść na podwórko. Kobieta opiekowała się nim i mimo wielu zajęć zawsze znalazła czas, aby posiedzieć przy jego łóżku. Stary gospodarz oddychał głośno. Policzki przybrały kolor kości, nos zaostrzył się wyraźnie. Kobieta, poprawiając pościel, często kładła mu rękę na czole. Dotyk tej ręki przynosił ulgę, przez chwilę czuł blisko siebie ciepło życia.

– Jestem wam ciężarem – powiedział kiedyś, a jego długie szare wąsy zadrżały lekko nad białymi, bezkrwistymi ustami.

Pewnego wieczoru, kiedy Aaltonen skończywszy pracę wszedł do sieni, spostrzegł, że stary wzywa go skinieniem żylastej kościstej ręki. Pośpiesznie podszedł do łóżka, nie zdążył nawet umyć się ani zdjąć zabłoconych chodaków.

– Chciałbym mieć porządną, mocną trumnę – powiedział Herman. – I ubierzcie mnie w świąteczne ubranie, chociaż właściwie szkoda dobrego przyodziewku do ziemi. I ludzie ze wsi niech się najedzą i napiją do syta, aby mnie dobrze wspominali. Na dnie skrzyni mam odłożone na to pieniądze. Znajdziesz tam też pięć książeczek oszczędnościowych, które zapisałem krewnym w mieście za to, że nie dzielili ziemi. Szóstą książeczkę dasz kobiecie, jest zapisana na jej imię, choć ona jest tylko moją powinowatą przez męża. Nic jej teraz jednak o tym nie mów.

Aaltonen nie potrafił na to powiedzieć słowa. Stary gospodarz, widząc jego zdumienie, wyjaśnił z odcieniem dumy w głosie.

– Nie jestem tak biedny, jak pewnie przypuszczałeś. Nie mogę pozostawić krewnych bez spuścizny, chociaż oni, wstydząc się mnie, dali mi nocleg w kuchni, kiedy ostatnio byłem w mieście. Ale to ich sprawa, siebie powinni się wstydzić. Zawsze to jednak rodzina i choć sumienie i rozum mówią mi, że nie mam wobec nich żadnych obowiązków, krew jednak ciągnie do swoich. Dlatego zapisuję im połowę tego, co przez całe życie zaoszczędziłem, a resztę dostanie ona. Przyszła tu, uprawiała ziemię i nie pogardzała mną.

Mowa ta zmęczyła starego Hermana. Umilkł i wyciągnął chudą rękę, którą Aaltonen ujął w swoją. Ujął dłoń człowieka, który za parę tygodni może nie będzie już żył. Czuł to wyraźnie. Aaltonen zamyślił się, zapadła cisza. Po chwili odezwał się niepewnie:

– Jeszcze przecież nie umieracie. Może nawet prędzej wy mnie pochowacie niż ja was... mam przeczucie...

Herman zaśmiał się cicho w odpowiedzi i odwrócił zmęczoną twarz do ściany. Słowa te jednak głęboko zapadły mu w pamięć. Myślał o nich słuchając chrobotu toczących ścianę korników.

Po szarych, deszczowych dniach znowu wyjrzało słońce. Niebo wznosiło się wysoko nad głowami, po polach dmuchał jesienny wiatr. Powietrze było przejrzyste, w dali, rysowała się wyraźnie postać człowieka.

Kobieta przystanęła na podwórku i patrzyła za Aaltonenem idącym do lasu z toporkiem na ramieniu. Nie przeczuwała żadnego nieszczęścia. Tak dobrze i lekko było oddychać złotym jesiennym powietrzem. Zimne, ostre promienie słońca padały na rozległe pola, odbijały się w pofałdowanej wodzie jeziora. Jasno lśniły miedziane pnie sosen i ich zielone, gęste konary. Jesień przybrała w złoto i czerwień starą ziemię. Wszystko wydawało się piękne, kiedy serce przepęniało uczucie do ukochanego człowieka, który szedł z siekierą do lasu.

W domu ukryty za drzwiami stał mężczyzna z izby za kuchnią. Znienacka pochwyił w ramiona wchodzącą z błogim uśmiechem na twarzy kobietę. Objął rękoma to ciało, które pamiętnej letniej nocy przeżyło wielkie szczęście. Kobieta, nie zastanawiając się ani chwili, chwyciła leżące pod piecem polano i z całej siły zdzieliła go prosto w łeb. Każde dotknięcie tej obleśnej ręki brudziło ją i napawało obrzydzeniem. Nie wolno mu było jej dotykać, ciało jej było teraz święte, nosiło w łonie dziecko ukochanego mężczyzny. Uderzyła nie patrząc nawet, gdzie bije, a pod jej silnym ciosem nalane ciało miękko upadło na podłogę. Kobieta nawet nie spojrzała w stronę leżącego i zabrała się do swojej roboty. Kiedy jednak spostrzegła, że nie rusza się, chwyciła czerpak i chlusnęła wodą w bladą twarz. Mężczyzna ukląkł i trzęsąc się rozcierał guz na skroni. Po chwili podniósł się i rzuciwszy kobiecie pełne nienawiści spojrzenie, wyszedł z izby z wyrazem dzikiej radości. Kobieta nie spojrzała

nawet za nim. Ze ściągniętą twarzą i oczyma zimnymi jak kamienie wróciła do swoich zajęć.

Aaltonen poszedł do lasu narąbać drewno na opał. Wiedział o tym mężczyzna z izby za kuchnią. Rozcierając bolącą skroń i czując smak krwi w ustach, szybkim krokiem ruszył za stodołę. Szedł zdecydowanie, choć w oczach mu ciemniało i kolana się pod nim uginały. Dzień był jasny. Widoczność dobra. Próbując opanować drżenie rąk, rozwinął tłustą szmatę, wyciągnął karabin i oczyścił lufę. Potem włożył do magazynku pięć naboji, zamknął i zabezpieczył zamek. Skradającymi się krokami ruszył w stronę lasu. Szedł wąską dróżką, którą zwykle gnano bydło. Słyszał z daleka odgłosy rąbanego drzewa. Zwolnił kroku. Przypomniały mu się dawne radosne chwile polowań, kiedy na odległość strzału miał przed sobą zwierzynę, nie spodziewającą się niebezpieczeństwa. Teraz cel jego będzie inny, nie ptak i nie zając. Zdobycz, po którą się skradał, była cenniejsza niż wszystko. W złoty jesienny dzień zbliżał się do niej, kierując się odgłosem uderzającej o drzewo siekiery. Echo niosło się daleko po lesie.

Aaltonen rąbał drzewo na skraju polanki, opodal skalistego zbocza. W dole za drzewami lśniła ciemna woda jeziora, widać było saunę, podwórko i dach domu, w którym krzątała się ukochana kobieta. Było mu dobrze. Zdjął kapotę, drwa rąbały się lekko, dobrze znany trzonek siekiery poddawał się jak przyjaciel mocnemu uchwytowi ręki. Jak przyjemnie było oddychać świeżym, przepojonym żywicą powietrzem.

Tymczasem mężczyzna z izby za kuchnią, kryjąc się za drzewami i sterczącymi głazami, zbliżał się ze starym karabinem w rękę. Skradał się bardzo powoli i ostrożnie, wystrzegał się nawet szelestu. Zatrzymał się w odległości, która wydawała mu się dogodna. Nie za blisko i nie za daleko. Zdobycz należała do niego.

Ostrożnie oparł lufę karabinu na konarze niskiej sosny odbezpieczył zamek i zaczął przymierzać się do celu. Widoczność

była dobra, odległość w sam raz. Nagle szarpnął nim dziki strach, zdjął karabin z drzewa i czym prędzej ukrył pod świerkiem. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że naboje leżały prawie dwadzieścia lat w wilgotnej ziemi.

A jeśli nie wystrzela? Ale gdyby nawet się tak stało, Aaltonen chyba nie usłyszy szczęku broni wśród odgłosów rąbiącej drzewo siekiery. Pocieszony tą myślą wyjął karabin i włożył między konary. Drżąc z niepewności znowu zaczął mierzyć. Policzki okryte krwistym rumieńcem drżały. Rozbiegane oczy nie mogły się skupić na muszce. Niepewnym, desperackim ruchem pociągnął wreszcie za cyngiel. Strzał huknął ogłuszając go na chwilę, a kolba karabinu boleśnie uderzyła w ramię i twarz.

Na odgłos gwizdu kuli i nieoczekiwanego strzału, który echem rozbrzmiewał jeszcze wśród skał, Aaltonen odwrócił się w mgnieniu oka. Na moment przystanął zdumiony i wówczas ujrzał wymierzoną w siebie lufę i zbielałą twarz wyzierającą zza karabinu. Nie uciekał, nie uskoczył w bok, nie szukał kryjówki. Odetchnął głęboko, wyprostował się i z siekierą w ręku wolnym krokiem ruszył w stronę mierzącego.

Zimny pot spływał po plecach mężczyzny, kiedy zobaczył idącego ku niemu Aaltonena. W jesiennym słońcu widział wyraźnie jego białą, rozchyloną na opalonej piersi koszulę, i znieruchomiał na chwilę. Popłoch ogarnął jego myśli. Klnąc pod nosem, z determinacją oparł mocno karabin na ramieniu, wymierzył i pociągnął za cyngiel. Rozległ się drugi strzał. Grzmiąc po lesie echem odbijał się o skały.

Tym razem Aaltonen zachwiał się i upadł do tyłu na ziemię z wyrazem zdumienia w gasnących oczach. Na koszulę wystąpiła ogromna, rozszerzająca się plama krwi, z ust wydobywało się rżenie. Ciężko dysząc zabójca podbiegł do leżącej ofiary i ze wszystkich sił nadepnął obcasem usta umierającego. Ręce jego uniosły się jeszcze, jakby chciał zdjąć nogę rozgniatającą usta, ale

nie miały już sił, głowa odwróciła się i przechyliła bezwładnie na bok. Oczy spojrzały po raz ostatni na niebo i korony drzew i zaciągnęły się mgłą.

Zbrodniarz upuścił karabin i zaczął dygotać.

Kobieta krzątając się w domu zastygła w zdumieniu na odgłos niespodziewanego strzału. Nasłuchując z bijącym sercem, starała się uspokoić myślą, że już od kilku dni dochodziły z lasu strzały rozpoczętych polowań. Ten jednak padł bardzo blisko. Właśnie wychodziła na podwórko, kiedy rozległ się ponownie. Pobladła i zacisnąwszy dłonie na piersiach, zatrzymała się w progu. Stary Herman siedział przed domem, ciesząc się ostatnimi promieniami jesiennego słońca. Na odgłos drugiego strzału wstał z trudem i przesłoniwszy oczy ręką, spojrzał w stronę lasu. Obojgu zdawało się, że usłyszeli krzyk.

– Chodźcie za mną! – zawołała kobieta i pobiegła, rękoma przyciskając walące w piersiach serce.

Stary Herman podążył za nią tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to krótki, świszczący oddech.

Z góry, po skałach schodził właśnie mężczyzna z izby za kuchnią i ujrawszy kobietę zatrzymał się z wahaniem, jakby pragnął uciec. Ale ona nie spojrzała na niego, z twarzą białą jak chusta zapytała tylko:

– Gdzie on jest?...

Mężczyzna w odpowiedzi wskazał ręką w stronę lasu.

Pobiegła w tym kierunku, a on, z twarzą idioty, niepewnym krokiem ruszył za nią. Nie mógł pozbawić się rozkoszy patrzenia na jej ból i rozpacz.

Na skraju polany, obok ułożonego do połowy stosu porąbanych drewn leżał Aaltonen. Kobieta uklękła przy nim, podniosła delikatnie

martwą głowę, ręką dotknęła bezwładnego ramienia. Spojrzała na leżącą obok siekiere i porzucony karabin.

– Ty to zrobiłeś – powiedziała zbielełymi wargami, bardzo spokojnym głosem.

Spokój ten zaskoczył go i ośmielił. Podeszedł jeszcze bliżej i pochyliwszy się nisko, aby lepiej widzieć twarz kobiety, odezwał się z dziką radością w głosie:

– Masz tu swojego kochanka...

Kobieta ostrożnie złożyła na ziemi głowę Aaltonena. Wzięła do ręki siekiere i wstała, jakby ważąc w dłoni jej ciężar. Mężczyzna, zdumiony jej spokojem, jeszcze bardziej przybliżył się i zaglądał jej w twarz. Zebrała wszystkie siły i uniósłszy siekiere uderzyła z całej mocy, mierząc dokładnie w tę znienawidzoną głowę. Usłyszała odgłos pękającej czaszki. Zbrodniarz padł twarzą na ziemię. Dla pewności wymierzyła jeszcze jeden cios w skroń, na której widniał guz od uderzenia polanem. W ułamku sekundy ze straszną goryczą pojęła, że całe jej nowe życie zostało zburzone dlatego, że rano nie zadała polanem silniejszego ciosu.

Nie patrząc więcej na zwalonego twarzą do ziemi trupa przyklęka znowu i wzięwszy w ramiona ukochaną, bezwładną głowę Aaltonena całowała zranione usta i gładziła dłonią stygnące białe policzki.

11

Nie żyje – powiedziała krótko kobieta, kiedy Herman ciężko dysząc zjawił się na polanie.

Stary człowiek zobaczył martwą głowę w objęciach kobiety, leżącą obok siekierę, porzucony opodal karabin i dopiero odwróciwszy się spostrzegł leżącego z rozplataną głową mężczyznę z izby za kuchnią.

Kobieta, widząc jego spojrzenie, milcząco skinęła głową. Stary Herman nogą odwrócił ciało na wznak, ale nie dawało już ono żadnych oznak życia.

– Zostańcie tutaj i przypilnujcie, lepiej żeby nikt nie zobaczył – odezwała się kobieta – ja pójdę zaprzęgnąć konia.

Powiedziawszy to ruszyła szybko w stronę domu. Stary pozostał sam na polanie. Zdjął wiszącą na konarze sosny kapotę, którą Aaltonen zrzucił z siebie przy pracy, złożył na piersi jego bezwładnie leżące ręce, okrył troskliwie ciało kapotą, jak gdyby otulał je do snu. Usiadł potem pogrążony w smutnych i ciężkich myślach.

Kobieta powróciła niebawem, prowadząc po skalistej ścieżce starą białą kobyłę zaprzęgniętą do drabiniastego wozu. Stukot końskich kopyt i turkot kół rozbrzmiewały dalekim echem po lesie.

Stary Herman nie pytał o nic. Pomógł kobiecie położyć na wozie ciało zbrodniarza, ujął lejce i ruchem głowy wskazał, by szła naprzód i pokazywała drogę. Zdawało się, że nowe siły wstąpiły w tego stojącego u kresu życia człowieka. Mocno ścigał lejcami konia, który strzygł uszami czując zapach krwi.

Ruszyli. Głowa trupa podskakiwała na gołych deskach pustego wozu. Kobieta szła pierwsza, ze ściągniętą twarzą i oczyma, które znowu zamieniły się w dwa twarde kamienie. Minęli podwórze i oborę. Zatrzymali się przy komórce z narzędziami. Kobieta przyniosła mocny worek i zwój drutu. Napelniwszy worek kamieniami wrzuciła go na wóz. Wzięła jeszcze łopatę i ruszyli w stronę jeziora. Zatrzymali się, kiedy miękki brzeg zaczął zapadać się pod ciężarem konia. Wtedy razem podnieśli ciało z wozu i położyli nad samą wodą. Kobieta odsunęła starego. Przyniosła worek napel-niony kamieniami i przywiązała go drutem do szyi i ramion trupa. Miękki mech uginał się pod jej stopami, woda tryskała aż na sukienkę, ale nie zwracała na to uwagi. Uporawszy się z tym wszystkim, łopatą odgarnęła wielki i gruby płat mchu. W powstały otwór wepchnęła worek napel-niony kamieniami i przywiązane doń ciało, aby zatoneło w odmętach czarnej wody. Cofnęła się. Miękki mech pozbawiony ciężaru unosił się powoli. Wszelkie ślady zostały zatarte.

Stary Herman skinął głową. Szare jego wąsy zadrżały. Dobrze, że tak się stało. Zawrócił konia i poprowadził go z powrotem w stronę domu. Jego chude, kościste policzki pokrył blady rumieniec, w wyblakłych oczach pojawił się wyraz ulgi. Ręce mocno trzymały lejce. Kobieta podeszła do niego, kiedy wyprzęgnąwszy konia wprowadzał go do stajni.

– Rozbiłam siekierą szufladę z pieniędzmi – powiedziała. Pieniądze ukryłam. Teraz idźcie do wsi i zwołajcie ludzi na świadków. Zawiadomcie także policję. Niech pilnują stacji i przystanków autobusowych, bo niby może tamtędy uciekać. Rozpowiadajcie wszędzie, że była między nimi nienawiść jeszcze od czasu, kiedy się w lecie pobili. Cała wieś wie, że był chory. Powiedzcie, że teraz jest niebezpieczny, że wpadł w szal, wtedy nie będą nikogo podejrzewać.

Herman milcząc popatrzył na kobietę i skinął głową. Bez drgnienia twarzy wytrzymała to spojrzenie. Oczy patrzyły twardo jak dwa niebieskie kamienie.

Stary powoli odwrócił się i z trudem oddychając ruszył wąską ścieżką w stronę wsi.

Kobieta zawróciła do lasu. Przybywszy na polanę oczyściła starannie ostrze siekiery z zaschniętej krwi. Potem usunęła wszystkie ślady z miejsca, gdzie leżał zbrodniarz. Opodal Aaltonen z białą twarzą patrzył szeroko otwartymi oczyma w spokojne jesienne niebo. Kobieta raz jeszcze rozejrzała się wokoło sprawdzając, czy wszystkie ślady zostały zatarte. Potem usiadła przy zwłokach i delikatnie wzięła martwą głowę w objęcia.

Z wyrazem rozpaczony na twarzy nakryła powiekami oczy umarłego i ręką gładziła jego rozrzucone włosy. Najmniejsze westchnienie nie wydobyło się z jej piersi. Siedziała nieruchomo trzymając w ramionach najdroższą głowę ukochanego człowieka i patrzyła na widniejące wśród drzew domostwo. Patrzyła na stary dom i zabudowania, na szare skały, czarne jezioro i puste zagony. Jej szczęście odeszło i nigdy już nie wróci. Została tylko ziemia, dla której dalej należało pracować. Ziemia, którą te mocne ramiona pracą swą oddały jej na własność. Bez radości myślała o dziecku, które miała urodzić. Nie będzie już mogła pokazać go tym kochanym, zagasłym na wieki oczom. Urodzi dziecko, bo to jej święty obowiązek, jedyna spuścizna, którą pozostawił jej zmarły. Urodzi je i wychowa, choć szczęście jej odeszło na zawsze.

Patrzyła na rozciągającą się u jej stóp ziemię odpoczywającą pod jasnym, wysokim niebem. Ziemia nie znała smutków ani radości. Siadła na skraju polany w zimnych promieniach jesienno słońca z najdroższą martwą głową w ramionach – po raz pierwszy poczuła, że dusza jej staje się podobna do tej ziemi.